MYŚL NARODOWA

TYGODNIK POŚWIĘCONY KULTURZE TWÓRCZOŚCI POLSKIEJ

ROK XIV. Nr. 4. WARSZAWA, 21 STYCZNIA 1934 R. CENA NUMERU 80 GR.

DZIECI WDOWY

Zacni bracia, nowego budownicy świata,
Podrwił głową architekt, patrzcie, co się dzieje,
Patrzcie, jak opłakana naszej pracy strata,
Od Wołgi aż po Tybet, każdy z nas się śmieje.

OTO jedna strofa z „Alarmu oświaty", którą śpiewali, przejęci trwogą o przyszłość bractwa, masoni polscy z wielkiej loży „Braci zjednoczonych Bloków" w r. 1814 po upadku Napoleona.

Podobne pieśni muszą być dziś śpiewane w lożach. Po ich zamknięciu we Włoszech i w Niemczech przyszedł głęboki kryzys wewnętrzny wolnomularstwa we Francji. Bo trzeba sobie z tego zdawać dobrze sprawę i wyraźnie to stwierdzić, że głośna dziś na świat cały afera Stawiskiego i związane z nią przesilenie polityczne we Francji jest następstwem rozkładu w wolnomularstwie, zwłaszcza w Wielkim Wschodzie.

*

Nie można oczywiście sprawy zbytnio upraszczać. Atmosfera moralna doby obecnej jest wynikiem różnorodnych i skomplikowanych przyczyn. Ludy Europy cierpią słusznie za popełnione w ciągu kilku wieków błędy. Poddawszy się materjalizmowi i indywidualizmowi doszły do głębokiego rozkładu moralnego i podlegają zaburzeniom całego życia gospodarczego, społecznego i politycznego. Przeświadczenie, że życie człowieka kończy się na ziemi, zniweczyło najsilniejsze hamulce etyczne. Postawienie interesu osobistego na pierwszem miejscu usunęło względy na interesy zbiorowości. Zapanowała nietylko w dziedzinie gospodarczej, lecz w całem życiu narodów cywilizacji zachodniej „moralność" kupiecka — zysk i interes jednostki stały się najwyższą miarą postępowania człowieka. Ta bezwzględna i „pozbawiona przesądów" moralność, oraz postępy wiedzy, która dała rasie białej do rąk potężne narzędzia techniczne, doprowadziły do panowania tej rasy na ziemi, pozwoliły jej na narzucenie wszystkim ludom swego systemu gospodarczego i hegemonji politycznej.

Prymat gospodarczy i polityczny Europy i Ameryki Północnej nie dowodzi jednak wcale ich wyższości nad innemi kontynentami. To też dziś, gdy ludy tych kontynentów przejęły od ludzi białych ich umiejętności techniczne i wojskowe, odwraca się karta dziejów, a nad przyszłością narodów europejskich stawiony jest znak zapytania: czy potrafią one nawrócić z dotychczasowej drogi? Czy potrafią przywrócić w swem życiu poszanowanie dla ducha i dla zasad moralnych z ducha płynących?

Nosicielką materjalizmu i indywidualizmu jest w Europie całej warstwa mieszczańska, t. zw. burżuazja, która w mniejszym lub większym stopniu uległa wpływowi zasad Wielkiej Rewolucji Francuskiej i uwierzyła w doktrynę liberalizmu gospodarczego. Ideały burżuazji zaś najsilniej przeniknęły życie wszystkich warstw we Francji, nic przeto dziwnego, że materjalizm i indywidualizm zapuścił

w tym kraju najsilniej korzenie i najtrudniej je będzie wyplenić. Czyż trzeba dodawać do tego, że doktryny Wielkiej Rewolucji — nawskroś materjalistyczne i indywidualistyczne — stanowią urzędową ideologję Republiki Francuskiej, nauczaną w szkołach — od powszechnych do akademickich — w literaturze i w prasie urzędowej?!

Tło zaburzeń w życiu narodu jest tedy we Francji to samo, co we wszystkich krajach kultury zachodniej. Tło to nazywa się dziś kryzysem cywilizacji europejskiej...

Na tem tle działają jednak jeszcze czynniki szczególne, nadające przejawom przesilenia cechy specjalne. Do czynników tych zaliczyć należy rolę żydów w życiu francuskiem i pozycję wolnomularstwa we Francji.

*

Żydów jest we Francji ilość niewielka, mimo to odgrywają oni dużą rolę w tamtejszem życiu gospodarczem, społecznem i politycznem. W bankach, w przemyśle, w instytucjach wszelkiego rodzaju, w piśmiennictwie, w prasie, w uniwersytetach, w parlamencie, w urzędach, w wojsku nawet ważne stanowiska zajmują żydzi i cieszą się pełnem równouprawnieniem...

Żydzi ci upodobnili się do otaczającego ich społeczeństwa, nie wyróżniają się tak, jak żydzi z ghetta wschodnio-europejskiego, lecz nie zespolili się przez to ze społeczeństwem francuskiem. Są dla tego społeczeństwa szkodliwsi, niż nadmiar biednej i zacofanej ludności żydowskiej w Polsce i w innych krajach Europy wschodniej. Bo żyd przywiązany do wiary swych przodków, żyjący w swem odwiecznem środowisku posiada swoją moralność, stanowi społeczność ujętą w karby różnorodne. Natomiast żyd wyzuty z wiary, żyd, który zerwał ze swą zbiorowością i nie asymilował się, a znalazł się w środowisku obcem jak ptak drapieżny wśród drobiu — patrzy na otaczające go społeczeństwo jak na materjał do wyzyskania, nie liczy się z żadnemi względami, nie czuje żadnych hamulców. Tak żerują na tle bogactwa Francji, na tle jej wysokiego poziomu kulturalnego i komfortu życiowego, na tle tego Paryża, który dla każdego jest ojczyzną, na tle rozłożonej przez materjalizm i indywidualizm burżuazji typy takie, jak Stawiski i cały legjon jemu podobnych... Są to ludzie wyrzuceni poza obręb swego środowiska, wyzuci z tych wszystkich poczuć i obowiązków moralnych, jakie ich w tem środowisku obowiązywały, nie liczący się z niczem, wyzyskujący na wszelki sposób obce sobie i za wrogie przez nich uznane otoczenie, a przez to najwierniejsi reprezentanci „ideałów" XIX wieku, znający jedno jedyne prawo — prawo zysku — i mający na widoku jeden jedyny interes — interes własny.

*

Narzędzia i pomocników z pośród autochtonów znajdują łatwo i szybko. Dostarcza im materjału takiego szczególna organizacja życia społecznego i politycznego we Francji. Kraj ten posiada ustrój skrajnie demokratyczny, należy do tak zwanych Wielkich Demokracyj Zachodu. Że jednak funkcjonować ustrój taki bez oligarchji nie może, więc zrodziła się taka oligarchja w postaci wolnomularstwa. Cała maszyna państwowa, wszystkie ciała polityczne i społeczne, cała organizacja życia kulturalnego, umysłowego we Francji jest w rękach lóż. Przez długie lata pracowano nad tem, usuwając starannie „profanów" ze wszelkich stanowisk. Nie potrzebuję szczegółowo opisywać, jak się to robi, bo znamy dziś wszyscy te rzeczy z własnego doświadczenia. Wystarczy stwierdzić, że są stanowiska w administracji, w polityce, w życiu społecznem, na których nie może się znaleźć ktoś, kto nie należy do wolnomularstwa. Szczególną uwagę zwraca się na wyższe organy administracji i sądownictwa, na ciało nauczycielskie, na sądownictwo, na policję i na ciała polityczne. Ostateczne zwycięstwo, w postaci opanowania wszystkich organów życia państwowego, odniosły loże w walce z armją w czasie sprawy Dreyfussa, którą głośny pisarz Jerzy Sorel nazwał słusznie „rewolucją dreyfusowską".

Ażeby zrozumieć rozkładowy i niszczący każde społeczeństwo wpływ masonerji, nie wystarczy mieć na uwadze jej płytką i smutną doktrynę materjalistyczno - indywidualistyczną, oraz jej związki z czarną magją. Trzeba jeszcze pamiętać o stosowanej przez nią metodzie oplątywania ludzi i zdobywania władzy. Metoda ta polega na bezwzględnem protegowaniu „braci" na wszelkie stanowiska, na ich obronie, na osłanianiu nawet ich przewinień i występków. Gdy mason zrobi znak trwogi, gdy zawoła: „Dzieci wdowy do mnie", wówczas wszyscy są zobowiązani przyjść mu z pomocą. Nawet na placu boju nie pociągnie prawdziwy mason za cyngiel i nie rąbnie szablą, gdy się przekona, że ma przed sobą członka sekty... Cóż dopiero w parlamencie, w sądzie, w komisarjacie policji, czy na zgromadzeniu publicznem? Ta metoda, charakterystyczna dla wolnomularstwa, wprowadza zupełną dezorganizację i zepsucie w życie społeczne. Tylko pamiętając o tej metodzie możemy zrozumieć, jak taki Stawiski mógł, po popełnieniu udowodnionych mu nadużyć, przez lata poruszać się we Francji, zakładać przedsiębiorstwa, obcować z posłami i ministrami, znajdować wspólników i popleczników. Udowodniono mu, że był agentem policji. Musiał mieć poparcie masonerji.

Popełniają wielki błąd ci, co odpowiedzialnością za skandale, o jakich wyżej mowa, obarczają naród francuski. Zgnilizna, ujawniona przy okazji

afery Stawiskiego, jest zgnilizną wszechwładnej dziś masonerji, jest następstwem rozkładu, jaki, na szczęście, ogarnia dziś tę wstrętną i złośliwą sektę. Zatrute rozkładem gnilnym powietrze unosi się z lóż i zatruwa życie polityczne i społeczne Francji. Chcąc atmosferę oczyścić, trzebaby sięgnąć do tych bagien, w których jest wytwarzana.

Te gnilne wyziewy zatruwają życie publiczne, są one jednak jednocześnie pocieszającym dowodem na to, że sekta się rozkłada wewnętrznie, że zabijają ją jej własne nieprawości, że przeto dni jej wszechwładzy są policzone. Padła we Włoszech i w Niemczech, należy przypuszczać, że skończy się też jej panowanie we Francji.

Wolnomularstwo nie ma przesądów, wszelki ustrój — od republiki do monarchji poprzez dyktaturę — jest dla niego dobry, jeśli służy jego interesom. We Francji wszakże związało swe losy z ustrojem republikańskim. To też tam upadek jego potęgi może się stać również upadkiem dzisiejszych republikańskich form jej ustroju.

VIATOR

UWAGI O PROGRAMIE GOSPODARCZYM. — II.

PODSTAWY IDEOWE PRZEWROTU

JEST rzeczą oczywistą dla każdego, że w naszych czasach dokonuje się jakiś przewrót społeczny i gospodarczy we wszystkich niemal krajach t. zw. cywilizacji zachodniej. Ekonomiście, operującemu szablonami, wytworzonemi przez martwą już dziś doktrynę ubiegłego stulecia (ustrój kapitalistyczny, socjalizm), byłoby niesłychanie trudno przewrót ten zrozumieć i określić.

Dokonuje się on bowiem na innej zupełnie płaszczyźnie i porównania, z tego punktu widzenia, przemian, zachodzących w różnych krajach, byłyby trudem bezużytecznym.

Najważniejsze są podstawy ideowe przewrotu: Inny stosunek do życia, inne pojmowanie zjawisk gospodarczych, przedewszystkiem może zupełnie odmienny stosunek do Państwa.

Ogromnie trudno jest sformułować, na czem polega ta przemiana moralna. Dlatego może ludzie starsi nie zawsze dobrze rozumieją młode pokolenie, które w nią wierzy. Jedno tylko powiedzieć można na uzasadnienie tezy, że ten przewrót moralny niewątpliwie nastąpi: Oto młode pokolenie wychowało się nie na demoralizującym duchu 19-tego wieku, lecz na zasadach etyki chrześcijańskiej. Zasady te nie były dlań jakimś dodatkiem do innego świata pojęć i czynów, rządzonego innemi prawami, lecz czemś integralnie związanem z wszelkiemi dziedzinami życia, a więc i z życiem gospodarczem.

Stąd pojęcie obowiązku, postawione wyżej od pojęcia „prawa“ do czegoś. Stąd też inny stosunek do zagadnień politycznych. Pokolenie, dziś rządzące, w młodości swej miało na oku jeden cel — odzyskanie niepodległości. Uzyskanie tego celu miało być, według pojęć tego pokolenia, nagrodą za wysiłki, a nie tylko etapem na drodze do zapewnienia pełnych warunków samodzielnego rozwoju narodowi. Młode pokolenie przekonało się, że mimo odzyskania niepodległości, niestety, bardzo nam jeszcze daleko do niezależności. Dlatego pracy dla Państwa nie uważało nigdy i uważać nie będzie za swoje prawo, dające takie lub inne korzyści, lecz za obowiązek, rozumiejąc w pełni ogrom ofiar i wyrzeczeń, które na siebie musi wziąć, by utrwalić byt Państwa i dać narodowi niezależność prawdziwą.

Może się komuś wydać dziwnem to zachwalanie młodego pokolenia w moich ustach, jako że nie zaliczam się do starszego. Trzeba jednak o tych rzeczach powiedzieć wyraźnie, co się myśli. Młodzi nie lubią o tem mówić sami między sobą, dlatego że dla nich są to sprawy same przez się jasne i zrozumiałe. Nie są jednak należycie zrozumiane przez starszych, którzy niekiedy uważali za potrzebne roztaczać przed młodymi złudne miraże rychłych i łatwych triumfów, podczas gdy lepsze dla młodych byłoby otwarte wyjaśnienie im, że bez ogromnych ofiar i wysiłków nie dojdzie się do niczego. Może lepiej, że młode pokolenie zrozumiało to samo.

Atmosfera moralna walki o niezależność państwa, czy to będzie walka prowadzona u dołów, w społeczeństwie, czy u góry, u steru rządu jest, albo będzie taka sama, jak atmosfera moralna w dobie walki o niepodległość.

Pokolenie, które tę niepodległość zdobyło, względnie pokolenie, któremu się zdaje, że ją zdobyło, nie może zrozumieć tego prostego faktu, że znajdujemy się co najwyżej w połowie drogi. Nie może się ono zdobyć na zrozumienie, że wciąż jeszcze potrzebny nam jest duch ofiary. Dziś naród cierpi i walczy z zależnością od obcych, a walka ta obca jest tym, którzy stoją u góry. Stąd głęboki rozdźwięk między społeczeństwem a Państwem.

Niewątpliwie jednak dojdzie, bo dojść musi do tego, że naród walczyć będzie o niezależność razem z Państwem i pod kierunkiem Państwa. Ciężka walka, która się wówczas rozegra, może być dokonana tylko w ogniu wysokiego napięcia uczuć, w tej nieuchwytnej atmosferze przewrotu, która umożliwi zwycięstwo. Brak wyczucia tej atmosfery uniemożliwi zupełnie zrozumienie obecnych dążeń młodego pokolenia. By zrozumieć—trzeba odczuć.

Co to wszystko ma wspólnego z programem gospodarczym? Otóż ma bardzo wiele. Mówiono naprzykład w wieku 19-tym, że gospodarka Państwa jest nieudolna, gdyż ludzie nią kierujący pozbawieni są motywu osobistego w działalności gospodarczej. Oczywiście, przez ludzi rozumie się ludzi ekonomicznych, to znaczy postępujących w myśl własnego interesu materjalnego, w ramach prawa, ale nie zawsze według wskazań moralności. Był to

właśnie wpływ płytkiego pojmowania wskazań moralnych. Niedbała praca dla Państwa jest przecież— kradzieżą. Nakaz moralny może być nie mniej silną pobudką działania, jak motyw osobisty.

To właśnie twierdzenie jest podstawą niektórych postulatów młodego pokolenia w dziedzinie gospodarczej. Tam, gdzie dziś w charakterze siły kierującej działalnością gospodarczą występuje obcy, to jest zagraniczny lub żydowski kapitał anonimowy, posługujący się często niemoralnemi i oszukańczemi metodami pracy, a raczej wyzysku, jest dla nas rzeczą jasną, oczywistą, że (w zmienionej atmosferze moralnej) urzędnik państwowy będzie kierował powierzonym mu odcinkiem życia gospodarczego lepiej, niż sługa obcego kapitału.

Nie znaczy to jednak bynajmniej, bym lekceważył znacznie siły motywu osobistego, jako pierwiastka twórczego. W następnym artykule będę się starał wykazać, że w zdegenerowanej gospodarce hyperkapitalistycznej motyw ten nie odgrywa swojej roli.

W innych formach gospodarki (rolnictwo, rzemiosło, handel, drobny i średni przemysł) motyw ten nie straci nic na swojem znaczeniu, ale tu także musi być hamowany i kierowany nakazem moralnym wykonywania narodowego programu gospodarczego. Słusznie bowiem powiada prof. R. Rybarski w ostatnio wydanej książce „Podstawy narodowego programu gospodarczego“, że każdy, „nawet pełniąc najpodrzędniejszą funkcję gospodarczą, ponosi odpowiedzialność za losy gospodarstwa narodowego, że każdy członek narodu może urzeczywistniać narodowy program gospodarczy“.

Gromadzenie osobistego majątku przez wytężoną pracę, dla zapewnienia bytu i przyszłości rodzinie jest nie tylko nakazem dobrze zrozumianego interesu własnego, lecz także wskazaniem, wynikającem z konieczności realizowania na każdym kroku narodowego programu gospodarczego.

Trwonienie dochodów, kupowanie obcych produktów, jest przestępstwem nie tylko z punktu widzenia interesu osobistego, lecz także z punktu widzenia narodowego. W jednym z następnych artykułów wyjaśnię, dlaczego wzmożenie oszczędności i kapitalizacji indywidualnej jest koniecznym warunkiem uwolnienia się od przewagi żydowskiej. Ścisłe wykonanie tych zaleceń możliwe będzie tylko w atmosferze już nie dobrze zrozumianego interesu własnego, lecz nakazu moralnego. Sądzę, że właśnie w Polsce taki nakaz moralny może mieć znaczenie większe od t. zw. siły motywu osobistego.

WOJCIECH ZALESKI

O KRYZYSIE I GOSPODARCE PLANOWEJ

W ROKU 1928 powołał rząd włoski do życia Szkołę nauki o korporacjach (*„Scuola di Scienze Corporative“*) w Pizie. Staraniem i nakładem tej instytucji zaczęło się obecnie ukazywać wydawnictwo, zawierające prace, dotyczące korporatywnej organizacji gospodarstwa narodowego. Mamy przed sobą dwie pierwsze książki: *„La Crisi del Capitalismo“* i *„L'Economia programmatica“*. Są to zbiory rozpraw na wskazane w tytułach tematy. O kryzysie kapitalizmu piszą p.p.: Gaetan Piron, Francuz, Werner Sombart, Niemiec, E. F. M. Durbin, Anglik, Ernest Minor Patterson, Amerykanin i Ugo Spirito, Włoch. O gospodarce planowej p.p.: Lucien Brocard, Francuz, Carl Landauer, Niemiec, J. A. Hobson, Anglik, Lewis L. Lorwin, Amerykanin, Gerard Dobbert (o Rosji Sowieckiej) i Ugo Spirito, Włoch. Wstęp pisał p. Giuseppe Bottai, b. minister, obszerną bibljografję dał p. G. Brugnier.

Obydwie książki ukazały się w r. 1933, mimo to nie uwzględniono w nich doświadczeń najnowszych; z programem gospodarczym narodowych socjalistów w Niemczech załatwia się p. Landauer w kilku zdaniach, o całej „akcji odbudowy" prezydenta Roosevelta jest zaledwie kilka wierszy.

Analiza kryzysu gospodarczego, przeprowadzona przez pisarzy różnych krajów, nie sięga bardzo głęboko. Gdy mowa o kryzysie kapitalizmu, to mają na widoku przeważnie kontrowers między kapitalizmem a socjalizmem. Jedynie prof. Sombart omawia rzecz wszechstronnie i wskazuje drogi wyjścia. Znany badacz kapitalizmu i gospodarki światowej powiada, że „podstawą ekonomiki kapitalistycznej w dobie jej najwyższego rozwoju było wyzyskiwanie ziem wszystkich kontynentów przez przemysłowe państwa europejskie. Podstawa ta jest obecnie podważona, to też państwa, w których gospodarka kapitalistyczna doszła do najwyższego rozwoju, zaczęły budować sobie własne, zamknięte gospodarstwa“. Prof. Sombart jest zwolennikiem gruntownej reformy obecnego ustroju gospodarczego, wypowiada się za systemem gospodarki planowej, która powinna sobie postawić za cel — rozkwit i dobrobyt Niemiec. W dopisku wyraża zadowolenie z programu gospodarczego Hitlera.

Zarówno przeciw liberalizmowi gospodarczemu jak socjalizmowi wypowiada się teoretyk korporatywizmu włoskiego, p. Ugo Spirito. Sądzi on, że zarówno liberalizm, jak i socjalizm, wyrosły z jednego pnia i że nowy ustrój gospodarczy — korporacyjny — musi oprzeć się na innych, niż te obydwa kierunki, założeniach, na nowem określeniu stosunku jednostki do zbiorowości, nowem pojmowaniu zadań państwa, oraz oddaniu kierownictwa życiem gospodarczem—zorganizowanemu w korporacjach narodowi.

Tak pojęte gospodarstwo planowe różni się zasadniczo od tego, co znalazło zastosowanie w Rosji i od tego, co nosi nazwę etatyzmu w innych krajach. P. Ugo Spirito i inni teoretycy reformy gospodarczej we Włoszech kładą duży nacisk na to, że ich metoda nie ma nic wspólnego z metodą bolszewicką; że jest logiczną konsekwencją wprowadzenia narodu, jako podmiotu działalności gospodarczej...

Z pośród autorów innych narodowości jedynie Francuz, p. Lucien Brocard, wychodzi przy traktowaniu zagadnienia gospodarki planowej poza kontrowers między kapitalizmem a socjalizmem i zbliża się w swych poglądach do młodszych ekonomistów włoskich. Sądzi on, że gospodarka planowa może dać dobre wyniki tylko o tyle, o ile się odda kie-

rownictwo państwu nie takiemu, jakie jest obecnie, lecz gruntownie zreformowanemu w duchu ideologji korperatywnej: P. Brocard powiada, że idea oparcia organizacji państwowej na podstawach zawodowych ma dawne tradycje we Francji (cechy średniowieczne, merkantylizm) i zwolenników zarówno w świecie działaczy przemysłowych, jak i wśród pisarzy ekonomicznych. Powołując się na swoje dzieło *„Principes d'économie nationale et internationale"* konkluduje p. Brocard, że koncepcje gospodarcze faszyzmu są bliższe, niż się to powszechnie sądzi, pewnych koncepcyj francuskich, opartych na doktrynie gospodarstwa narodowego.

Na dwie omawiane tu książki zwracamy przedewszystkiem uwagę dlatego, że przynoszą one informacje o pracy myśli w dziedzinie gospodarczej w różnych krajach oraz obfitą bibljografję przedmiotu. Treść ich dowodzi jednak, że w zakresie oświetlenia wysuniętych przez życie zagadnień gospodarczych panuje zarówno wśród ludzi nauki, jak i wśród działaczy praktycznych, wielka rozbieżność zdań i poglądów. Cóż mówić o wskazaniach na przyszłość, jeśli co do djagnozy kryzysu gospodarczego, „bankructwa" kapitalizmu i całokształtu przeobrażeń społecznych i politycznych niema dotychczas zgody nawet wśród ludzi, przyznających się do tych samych kierunków.

Jest, oczywiście, pierwszem zadaniem dla nas studjowanie naszych własnych stosunków i naszego własnego rozwoju historycznego, gdyż tylko na tej podstawie można budować wskazania dla narodu polskiego. Lecz jest również rzeczą konieczną dobre orjentowanie się w stosunkach światowych i znajomość tego, do czego myśl i doświadczenie doprowadziły inne narody.

STANISŁAW KOZICKI

DO ŹRÓDEŁ NIEPODLEGŁOŚCI. — I.

DE TE FABULA NARRATUR...

BĘDĄC w latach 1908 — 9 w Londynie, mieszkałem u rodowitych Anglików, należących do warstwy średniej, inteligentów. Ponieważ bawiłem w celach naukowych, a pan domu był uczonym (zoologiem), więc, jakkolwiek pracował w innej dziedzinie, niż moja, nawiązał się między nami wkrótce stosunek przyjazny, oparty na zainteresowaniach natury intelektualnej. Jako człowiek żywy, nie zaś „mól książkowy", znajdowałem oczywiście czas na zwiedzanie ogromnego i ciekawego miasta oraz na informowanie się o sprawach brytyjskich. Już z nielicznych rozmów zorjentowałem się, że mój interlokutor jest człowiekiem wielkiej wiedzy i że musi borykać się w walce o kawałek chleba we własnej ojczyźnie.

Ze względu na swoją węższą specjalność (ichtjologję) i doniosłe znaczenie przemysłu rybnego, z którego utrzymuje się w Anglji znaczna liczba ludności, otrzymywał niekiedy mój znajomy propozycje rządowe. Wywiązywał się z danych mu poleceń bez zarzutu, wiedziano o nim w sferach naukowych jako o autorze prac poważnych, był zaproszony i brał udział w ekspedycji naukowej na wyspę św. Heleny, a jednak na stałe musiał zadowalać się stanowiskiem podrzędnem.

Bolał nad tem, tembardziej, że nieraz łatwiej mu było umieścić pracę w niemieckiej prasie naukowej, niż w angielskiej. Żalił się przedemną, iż śród zoologów Anglików nie brak i takich, którzy nie odwzajemniają się za nadsyłane im grzecznościowo prace naukowe. Nieraz też, gdy był zmartwiony, odzywał się z projektem osiedlenia się w Niemczech, gdzieś na południowym zachodzie, w Badenji np. (Prus nie lubił). Mogłem się dosyć prędko przekonać, że projekt ten, zrodzony z żalu i przygnębienia, był perjodyczną ucieczką od rzeczywistości w krainę ułudy, marzeniem raczej, niżeli zamiarem na serjo, któryby miał być w życie wcielony. Oto bowiem mój znajomy był Anglikiem do szpiku kości. Wystarczało zawadzić o politykę, aby się o tem dowiedzieć. „Pozbawić Niemcy floty" — mówił — „jest dla nas kwestją życia albo śmierci". To nie był frazes: jedyny syn jego, ukończony inżynier okrętowy, zginął jako ochotnik na polu chwały we Francji zaraz w pierwszych miesiącach wojny światowej (1914 — 18).

Wszystko to przytaczam celowo, by unaocznić czytelnikowi, że znajomy mój był człowiekiem wykształconym i patrjotą brytyjskim, gdyż chodzi mi o uwydatnienie kontrastu — do czego ten sam człowiek mógł się posunąć w innej dziedzinie.

Zwiedzając wschodnią część Londynu, natrafiłem na dzielnicę (*Whitechapel*), która wprowadziła mnie w osłupienie: Gdzie ja jestem?—pomyślałem.— Ależ to istne Nalewki warszawskie! Tylko ten kościół anglikański, sterczący w tem otoczeniu, wygląda jak zabytek archeologiczny. A ile tych napisów, wystylizowanych alfabetem hebrajskim! Nie do wiary, a jednak fakt najprawdziwszy: to samo, ci sami. Kwestja żydowska nie wiele mnie wtedy zajmowała, ale mając oczy otwarte, umiałem patrzeć, a patrząc widziałem przynajmniej ułamek rzeczywistości. Otóż powiedziałem sobie: z tą potęgą brytyjską coś nie jest w porządku, skoro żydzi mogą sobie pozwolić w Londynie na to samo, co i w Warszawie, pod butem moskiewskim.

Podczas pogawędki obiadowej nie omieszkałem naturalnie podzielić się swojem „odkryciem". Opowiadam. Mój znajomy słucha, słucha... Wreszcie pada uwaga: Że pan spotkał żydów w Londynie, temu przeczyć nie będę, ale co się tyczy masowego zaludnienia przez nich całej dzielnicy i co do tych napisów hebrajskich, daruje pan, to się panu poprostu zdawało... — Ależ ja widziałem na własne oczy... — Żałuję, ale... — Wobec tego proponuję panu, abyśmy się któregokolwiek dnia obaj wybrali do tej dzielnicy, wówczas przekona się pan naocznie. — Po co miałbym tam jeździć, kiedy wiem, że to niemożliwe. Zdumienie moje przekracza wszelkie granice: Nie chce pan nawet sprawdzić tego, com ja na własne oczy stwierdził? Panu, przyrodnikowi, wystarcza w tym razie przekonanie *a priori*? Na to mój znajomy z flegmą: Widzi pan, ja wiem, że pan jest w błędzie, gdyż rząd nasz nigdyby do czegoś podobnego w naszym kraju

nie dopuścił. Sens był właściwie taki: Coś podobnego jest możliwe u was w Warszawie, w jakiejś tam Polsce rosyjskiej, ale nie w stolicy W. Brytanji. Tylko wyrażenia zostały dobrane mniej brutalnie. Było to przytem powiedziane tonem gospodarza-Anglika do gościa-cudzoziemca, tonem człowieka pięćdziesięcioparoletniego do dwudziestokilkuletniego, tonem wykluczającym wszelki sprzeciw. Zastosowałem na razie milczenie. Stwierdziłem, nieoczekiwanie dla siebie, że wiara w wyższość brytyjską, jedna z cech dominujących duszy angielskiej, przyprawiła o śmierć fakt niewątpliwy, oczywiście o śmierć pozorną, gdyż żadnego faktu nie można uśmiercić wiarą, że go niema.

Raz jeden jeszcze spróbowałem poruszyć tę materję. Ostatecznie (pomyślałem), może podrażniona duma narodowa wywołała takie niezadowolenie ze stwierdzonego przezemnie faktu, iż posunął się aż do zaprzeczenia na głos, a po cichu jednak sprawdził stan rzeczy i prawdy się dowiedział. Okazało się, że pozostał przy swojem i nie był na miejscu. Machnąłem ręką.

W kilka lat później, gdy przypominałem sobie te zdarzenia z londyńskich czasów, zdolny już byłem o wiele dokładniej ująć ich sens. Ze wszystkich danych mogę wnosić, że mój znajomy nie należał do masonerji, i ta okoliczność stanowiła główną przyczynę jego niepowodzeń życiowych. Patrjotyzm brytyjski i wysokie kwalifikacje zawodowe nie wystarczały do zapewnienia stałego, poważnego stanowiska we własnej ojczyźnie człowiekowi prawemu i niezależnemu, który nie umiał się wysługiwać nikomu. A ponieważ to upośledzenie najlepszych — uogólnienie chyba uzasadnione — miało miejsce w potężnej W. Brytanji, więc narzuca się wniosek nieodparty: niepodległość państwowa nie jest równoznaczna z niepodległością narodową. Albo inaczej: państwo brytyjskie służy nietylko interesom brytyjskim. Znajomy mój jednakże o właściwych przyczynach swego upośledzenia — pomimo swego wykształcenia ogólnego i specjalnego — wcale nie wiedział, robił różne błędne przypuszczenia, gryzł się i trwał w osamotnieniu. Czy jednak mógł się łatwo prawdy dowiedzieć, jeżeli umysłowość jego była tak uformowana, posiadała w swej strukturze taki tajemny mechanizm, iż wysoko wykształcony człowiek, przyrodnik, mógł się posunąć do podeptania faktu niewątpliwego? Zważmy teraz, iż w W. Brytanji, podobnie jak gdzieindziej, każda normalna jednostka pochłonięta jest przedewszystkiem zarobkowaniem, a potem używaniem życia, iż nawet wysoki poziom wykształcenia w jednej dziedzinie nie wyklucza ignorancji w innej dziedzinie, gdyż specjalizacja prowadzi przeważnie do daleko posuniętej jednostronności, wówczas pojmiemy, że poglądy na najważniejsze sprawy bytu państwowego i bytu narodowego, podawane w zręcznej formie do wierzenia, przyjmowane są bezwiednie i dostawszy się do umysłów tworzą istne pancerze, przez które potem myśl prawdziwie niepodległa przebić się bez dynamitu nie może.

Czy z takich zamurowanych umysłów może zrodzić się samorzutnie myśl i wola zbiorowa, zdolna do zorganizowania działania zbiorowego całego narodu w interesie własnym?

Studja późniejsze odsłoniły mi rzeczywistość jeszcze dokładniej. Owa zamieszkała masowo przez żydów dzielnica Londynu była swego czasu tak samo angielska, jak każda inna (dowodem ów kościół zabytkowy), lecz dokonano na nią formalnego najazdu i po dłuższej, zaciętej walce, wypróbowaną bronią (zaofiarowaniem wyższych od rynkowych czynszów mieszkaniowych, stłoczeniem mas żydowskich w ciasnocie, obrzydzaniem życia Anglikom, jeszcze pozostałym w pobliżu, wykupywaniem z rąk angielskich nieruchomości, położonych obok siebie) ostatecznie ją zdobyto. Ale o tej inwazji było tak cicho, iż poza garstką polityków zawodowych nawet ogół inteligentny o tem nie słyszał, tembardziej masy. Wprawdzie dzielnica ta często wypływała na powierzchnię w związku z kroniką kryminalną. Np. raz, przypominam sobie, toczyła się interesująca sprawa o zamordowanie młodej żydówki, prostytutki, pochodzącej z tej dzielnicy. Prasa angielska wyrażała się o niej *„the Polish girl"*, choć przed wojną światową obywatelstwo polskie nie istniało *de iure*'a Polska była zazwyczaj ignorowana. Interesująca niezwykle dyskusja w sprawie imigrantów żydowskich toczyła się między kilkoma zawodowymi politykami (deputowanymi) brytyjskimi i żydami, śród których, o ile mnie pamięć nie myli, brał udział w niej jeden z twórców syjonizmu—Teodor Herzl. Żydom chodziło o to, aby wydobyć z Anglików oświadczenie, iż ci ostatni są przeciwni osiedlaniu się imigrantów — jako żydów, podczas gdy Anglicy zapewniali, że nie chodzi im bynajmniej o żydów, tylko o żywioł pozbawiony przeważnie środków do życia, zaostrzający spółzawodnictwo, wytwarzający ferment. Tak czy owak, fakt przypadkowo przezemnie zaobserwowany nie był wcale błahy, przeciwnie, odsłaniał istnienie silnego, podziemnego prądu, związanego niewidzialnemi kanałami z powierzchnią, prądu przed wojną prawie nieznanego.

Jeżeli żydzi masowo dążą do pewnych, określonych celów, umożliwiających im tajemne, lecz stałe panowanie nad nie-żydami, jeżeli natomiast nie-żydzi, w olbrzymiej swej masie, tych celów, tych dążeń nawet nie znają, to oczywiście nie mogą im przeciwdziałać, nie mogą im nawet myślą czegokolwiek przeciwstawić, a w takim razie *volens nolens*, świadomie czy bezwiednie muszą żydom ulegać.

Jeżeli zaś tu i owdzie trafiają się garstki nie-żydów, mających w najlepszym wypadku ogólnikowe pojęcie o celach i dążeniach żydowskich, to znowu nie znają dostatecznie samych siebie, nie znają dostatecznie własnej zbiorowości. Łudzą się przeto, że ich „żydoznawstwo" stanowi ową zbawczą nitkę Arjadny, która ich z labiryntu wyprowadzi. Tymczasem ponieważ przyczyny tajemnego panowania żydowskiego tkwią tyleż w żydach, ile w nie-żydach, więc bez samowiedzy, bez niepodległości duszy narodowej, niemasz niepodległości woli i czynu narodowego.

Niejeden z czytelników, który uśmiał się z zaślepienia mego znajomego Anglika, obraziłby się, gdyby usłyszał, że i on jest zdolny do podobnego zaślepienia, jeżeli nie na tym punkcie, co ów Anglik, to na innym. Bowiem takiego stanu cywilizacyjnego, w którym żyjące grupy społeczne mogłyby się pozbyć doszczętnie minionych nawarstwień cywilizacyjnych nie było, niema i zapewne nigdy nie będzie. I dzisiaj — jeżeli chodzi o masy — żyjemy wiarą, nawet zabobonem, ba, szczątkami magji, bardziej, niż czystą wiedzą, a że ta wiara zmieniła swój kierunek lokalizacji, że zamiast Absolutu Boga powstały bożki, np. absolut Państwa,

absolut własnej jaźni, absolut Materji i t. d., to przecież nie zmienia istoty rzeczy. *De te fabula narratur*..

Streszczamy się. Mając do czynienia z faktem spółżycia dwu grup społecznych, na który wpływ wywierać chcemy, musimy zawsze mieć na oku stosunki obustronne, przyczem punktem wyjścia naszych ustaleń, celem dokładniejszej kontroli, winna być naprzemian to jedna, to druga grupa. Dopiero gruntowne porównanie struktur psychofizycznych, społeczno - gospodarczych, cywilizacyjnych obu społeczeństw pozwoli nam postawić prawdziwą djagnozę.

IGNOTUS

OD INDYWIDUALIZMU DO FETYSZYZMU

OSTATNIA książka p. Jana Nepomucena Millera — „Na gruzach Grenady“ (Studjum krytyczne. Warszawa, 1933. Tow. Wyd. „Rój“)— jest tak odstręczającym przykładem chaosu myślowego, że domaga się obszerniejszego komentarza.

Przed kilku laty wydał p. Miller książkę p. t. „Zaraza w Grenadzie“, w której starał się „zadokumentować kryzys i upadek indywidualizmu w sztuce polskiej i jej zwrot do uniwersalizmu“. Książka wywołała pewien hałas, mający posmak literackiego skandalu, czem ośmielony autor wydał obecnie drugą książkę, rozwijającą ideje, zawarte w pierwszej.

Co to jest uniwersalizm? Jest to system pojęć — odpowiada p. Miller — „mających na celu opanowanie rzeczywistości — w możliwie najdalszym, najpełniejszym zakresie“. Niewystarczająca to i zbyt ogólnikowa odpowiedź. P. Miller jaśniejszej przecie nie daje. Konkretniej zaznacza jedynie w innym miejscu: „W zakresie życia ściślej społecznego, uniwersalizm sprowadza się do kolektywizmu, polegającego na przeświadczeniu, że zbiorowość jako całość szczególnego rodzaju poprzedza i warunkuje świat wewnętrzny jednostki“ (str 59).

Nie precyzując bliżej pojęcia „uniwersalizmu“ (zarówno obecnie, jak i w poprzednio wydanej książce), autor nie traci nadziei, że w przyszłości „dojrzy tę linję, która pozwoli (mu) na kontynuowanie rozpoczętej pracy — tworzenia fundamentów(!) nowej(!) kultury polskiej, opartej na uniwersalizmie“ (str. 225).

Jak widzimy — p. Miller nie grzeszy skromnością. „Starej“ kultury polskiej nie dostrzega, „nowej“ — chce być budowniczym. Przyjrzyjmy się tedy tak ambitnie rozpoczętej pracy. Już na wstępie tych uwag należy stwierdzić, że oddawna literatury krytycznej nie obdarzono książką, będącą tak jaskrawym przykładem megalomanji i niechlujstwa metodologicznego, książką, odznaczającą się brakiem jakiejkolwiek metody naukowej. Tezę uniwersalizmu w sztuce i życiu postawił autor w sposób, budzący jaknajwiększe wątpliwości przedewszystkiem ze strony filozoficznej i estetycznej.

Omawiając przez dziesięciu laty teorję uniwersalistyczną p. Millera, słusznie zauważył Zygmunt Wasilewski, że p. Miller wskrzesił w sobie stare ambicje poznania ontologicznego i z realizmu wpada w metafizykę, nie mogąc wyprowadzić myśli na gładką drogę logiki:

„Pluralistyczny punkt widzenia w metafizyce“ — pisze Wasilewski — „odpowiada spirytualizmowi, a ten w przeciwieństwie do panteizmu, jest indywidualistyczny. Pan Miller nie wie jeszcze, w jaki sposób trafić do terenów zaświatowości, czy przez panteizm, czy spirytualizm, czuje tylko, że należałoby duszy polskiej, więzionej w indywidualizmie narodowym, dać jakąś furtkę. Wszystko jedno, czy przez rozczepienie jaźni na świat realny, czy w porządku metafizycznym w zaświat, aby tylko zczezł ten upiór narodowego myślenia i czucia. Jest neopozytywistą, wielbiącym do mistycyzmu materję...“

To przecie, co jest na drodze wiodącej do celu pozytywnego tylko sprzecznością, tylko skokiem absurdalnym w nieznane, dobijaniem się do drzwi zamkniętych — staje się wcale dobrym środkiem i sposobem do osiągania celu negatywnego, a zarazem politycznego i publicystycznego. Tym celem, jest wzbudzenie w czytelniku wątpliwości co do wartości kultury polskiej — p. Miller dodałby: dotychczasowej. Sztuka jest według socjalistyczno-komunistycznych poglądów p. Millera:

„narzędziem władzy w rękach ras i narodów, stanów i warstw społecznych. Oficjalnie panująca w Polsce do dnia dzisiejszego sztuka, jest narzędziem walki zdeklasowanej społecznie szlachty o przywrócenie wymykającego się jej terenu władzy“ (str. 22).

Nienawiść do tej kultury dyktuje p. Millerowi takie słowa:

„Całe ubóstwo i stęchlizna naszej kultury wypływa z tego zmonopolizowania narzędzi władzy przez pasorzytniczą warstwę narodu, którą stać było tylko na wytworzenie poezji użycia i zużycia (?). I jeżeli teraz fryzjerczyk jakiś w dniu ożenku, uważa za konieczne usiąść we fraku i cylindrze do karety, umieścić na kozłach dwóch fagasów, ubranych w popielatą liberję i białe rękawiczki, żeby choć raz w życiu być obsłużonym „po pańsku“... — to jest to właśnie przeklęte dziedzictwo tej szlacheckiej kultury, której właściwym celem jest bytowanie kosztem cudzej pracy. Najstraszliwszą zmorą życia polskiego jest ewentualność poddania się świata pracy (jak w cytowanym wypadku) wpływowi tej wydętej husarsko, a życiowo zbankrutowanej kultury“ (str. 22—23).

Te historjozoficzne — już nie grubą nitką, lecz sznurem szyte — wywody budowniczego „nowej“ kultury polskiej mają nas niby przekonać, że „najstraszliwszą zmorą życia“ była twórczość Kochanowskiego, Górnickiego, Konarskiego, Norwida i — przedewszystkiem — romantyków — owej — „pasorzytniczej warstwy narodu“. Mickiewiczowi zarzuca p. Miller, że za jego sprawą „czucie“ stało się „hipostazą historycznego lenistwa i ospałości szlacheckiej“, że Mickiewicz „w prostaczy, naiwny sposób“ lekceważył to, „do czego jeszcze nie dorósł“.

Postawiwszy krzyżyk na mogile „starej“ kultury polskiej, p. Miller nawołuje do budowy „nowej“, proletarjackiej. Rozczepiając i indywidualizując w ten sposób pojęcie kultury, p. Miller głosuje za tą, „którejby należało nadać miano proletarjackiej“. Ta kultura, tworzona w okresie „zmagania się i triumfu proletarjatu nad burżuazją“ jest kulturą „etapu przejściowego“. We właściwym czasie — zedrze się z niej tę etykietkę i naklei się inną z napisem: „Kultura pozaklasowa w ustroju socjalistycznym“. Według p. Millera zatem, po obecnej kulturze „szlacheckiej“ nastąpić musi kultura „proletarjacka“, odpowiadająca potrzebom „walczącej o opanowanie świata warstwy“, po niej zaś — kultura „socjalistyczna“. Narazie nie rozstrzyga p. Miller przezornie „sprawy stosunku kultury socjalistycznej do proletarjackiej“. Już to się jakoś ułoży.

Sztuka p. Millera ma być uspołeczniona, ma organizować i opanować rzeczywistość, ma szerzyć nienawiść, ma wydać walkę „absolutnej miłości“, tej „nierealnej fikcji“, na której „budowano przyszłość świata i narodu“. Dotychczas:

„Z zabójczą (?), rozpaczliwą monotonją wszyscy nasi romantycy zapewniają ogłupiały naród, że „jeden tylko, jeden cud, to przez miłość przemienienie““ (str. 67).

Teraz będzie inaczej — zapewnia p. Miller. Konsekwencją tego stanowiska („gdy antagonizmy społeczne zaostrzyły się ponad wszelką miarę“) jest pogląd p. Millera, że sztuka musi się natychmiast „zdecydować, po której stronie stanie i czyje piękno będzie głosić“. Piękno dotychczasowej kultury — skwapliwie dodaje p. Miller—polegało na „poszanowaniu tradycji“, „pogardzie dla pracy i umiejętności zużycia wieczyście wolnego czasu“ i „poczuciu honoru i rycerskości“. „Klasycznym przykładem tej kultury jest u nas „Pan Tadeusz“.

Walcząc z uniwersalistyczną „fikcją jedności kulturalnej życia polskiego“ wykazuje p. Miller dużo indywidualności. Ten indywidualizm ponosi p. Millera na drogę tworzenia projektów ustrojowych, domagających się naprzykład, by przy wyborach do parlamentu poszczególni „członkowie kilku związków zawodowych posiadali odpowiednio po kilka głosów“. W ten sposób chce p. Miller stworzyć „elitę“ tej nowej proletarjackiej kultury.

W kilku miejscach poddaje p. Miller do pewnego stopnia słusznej krytyce „wartości atomistycznego rozczepienia w układzie i budowie społeczeństwa“ (str. 166). Teorja atomizmu, na której wspierał swe tezy Marx, dawno już została w nauce zarzucona, dzięki przeobrażeniom w fizyce. Dziś niepodobna już powracać do bezpodstawnej koncepcji, koncepcji pojmowania życia psychicznego na wzór mechaniczny. Zrozumiał to Bucharin, który w sposób nowy sformułował tezę materjalizmu dziejowego. Krytyk Bucharina — Karol Górski — słusznie twierdzi o zastosowaniu do teorji Marxa dwóch Bucharinowskich, typowych cech umysłowości rosyjskiej: religijnego stosunku do tego, co się za prawdę uznaje, oraz skłonności do naturalizmu w ujmowaniu życia. Obie te cechy występują niezwykle silnie w książce p. Millera, który, jako przedstawiciel prądu religijnego w socjalizmie i zwolennik laicyzacji, nie odrzuca religji wprost, jak komuniści, ale chce ją „wprząc do pracy społecznej“, pominąć dogmat i „obrabować ją z prawa sankcji moralnej i z kultu, jak to czynili poniekąd masoni...“ (178). To stanowisko—jedyne może w książce — jest, trzeba przyznać, dość konsekwentne, mimo braku zasad filozoficznych. Oto, mówiąc o zamiarach Piłsudskiego, który po zamachu majowym pozwolił się obrać prezydentem—p. Miller pisze:

„W tym wypadku organem s a n k c j i m o r a l n e j okazała się instytucja świecka i należałoby oczekiwać, że w naszych czasach moralność publiczna z dnia na dzień powinna się uświecczać“ (174).

Zbyteczne jest szersze rozwodzenie się nad fałszywością tego sądu i jego perfidną tendencją. Nawet polityczna literatura sanacyjna nie idzie tak daleko, twierdzi bowiem tylko, że Zgromadzenie Narodowe udzieliło autorom zamachu majowego sankcji parlamentarnej, politycznej. A przecież sankcja parlamentarna i sankcja moralna—to dwa różne pojęcia z dwóch różnych światów i wymiarów.

Przykład utożsamienia dwóch różnych pojęć przytoczyliśmy, aby scharakteryzować metodę pisarską p. Millera. Nie dba on o skrupuły, dzień nazywając nocą, a noc za dzień poczytując. Brak dyscypliny filozoficznej dyktuje mu takie np. zdania, wyjęte wprost z popularnych, pseudo-naukowych broszurek socjalistycznych:

„Religja była opjum dla ludzi, jako środek usypiania czujności proletarjatu i przerzucania jego zainteresowań w dziedzinę nierealną, by w sferze rzeczywistości podlegał biernie panującej warstwie“ (str. 55).

Takie niesłychane już uproszczenia myślowe mają doprowadzić p. Millera do jedynego celu: dowiedzenia konieczności walki z życiem psychicznem narodu, konieczności przezwyciężenia poczucia i indywidualizmu narodowego („indywidualna gospodarka państwowa stała się niemożliwością, granice — przesądem“, str. 115) na rzecz wszechludzkiego uniwersalizmu. Niepodległość staje się — według p. Millera — ciężarem. Z ciężaru zaś chce się autor uwolnić. I wysnuwa wnioski wprost humorystyczne:

„Wobec nieuniknionego procesu scalania gospodarczego i politycznego globu, odpowiednikiem poetyckim stanie się nowa przenośnia g l o b o w a, która stanie się wyrazem oswojenia człowieka z całością terenu swojej działalności. Zamiast „mazurskiej“ krzepoty lub „litewskiego“ uporu, będziemy mówić o atlantyckim humorze, śródziemnomorskim temperamencie i śmiechu polarnym“ (str. 103).

Ogarnięty taką pasją pisarską, p. Miller zdaje się nie odczuwać śmieszności, jaka dotrzymuje mu towarzystwa w każdem miejscu jego książki (cóż za nonszalanckie powiedzenia: „Baudelaire, czy ktoś t a k i w szpitalu...“, „zwiotczałe ramiona Boga lub szatana...“) Namiętność ta zrodziła styl i język równie śmieszny, jak niechlujny. Oto kilka przykładów:

Człowiek... „musi wyjść poza ten krąg histerycznej samoobłudy, poza swą rozigraną onanistycznie wyobraźnię...“ (str. 13).

Zakłamywanie się fikcją jedności teologicznej jest... „fryzjerskiem zamiłowaniem do butów wypucowanych na niedzielę i święta“ (str. 15).

Przybyszewski i Kasprowicz złożyli... „pocałunek winnego hołdu na podstawionym sobie zadku wielkiego kozła świata“ (str. 29).

„Kulturę proletarjacką, ujmowaną nie jako przypochlebne merdanie ogonem inteligenta wobec proletarjusza...“ (str. 49).

Nie o to chodzi, aby prawo robotnika... „zostało uznane przez sparszywiałego w szachrajstwie giełdziarza-fabrykanta, żeby cuchnący kretyn z zapadłych czworaków miał te same prawa i tę samą możność odbywania syfilistycznych uciech, co jego spaśny i apoplektyczny skórozdzierca i moczygęba“ (str. 82).

Brak umiaru i nieodpowiedzialność całkowita prowadzą autora wprost do fetyszyzmu. Oto przykład:

„Tę rolę, jaką kościół przypisuje relikwjom świętych, tę łaskę odkupieńczą, jesteśmy skłonni w niemniejszej mierze przypisać relikwjom świeckim w postaci zwłok, pamiątek po ludziach, którzy stali się symbolami uprzedmiotowanych w tych pamiątkowych szczątkach sił społecznych, dziejowych, globowych i kosmicznych“ (str. 179).

Lecz nie będziemy mnożyli dalszych przykładów. Książka p. Millera, demagogiczna w tonie, nie przemyślana w treści, jest książką bałamutną i szkodliwą. Jest także smutnym przykładem panujących dziś stosunków literackich i poziomu osób, uprawiających bezkarnie t. zw. krytykę literacką.

TEOFIL BERNARD SYGA

NA WIDOWNI

Najście żydów na literaturę. — Bojkot twórczości polskiej. — Arogancja wydawców. — Całkiem nowa Polska i kompleks Brandstaettera. — Żydzi, masonerja i konjuktura. — Orzeł dwugłowy.

W STOŁECZNEM mieście Warszawie, jak wiadomo, bardzo zażydzonem, na szczególną uwagę ludzi, zajmujących się stanem kultury polskiej, zasługuje pole twórczości literackiej i artystycznej.

Oto teraz w teatrach polskich zdarzyły się jednocześnie dwie premjery: w jednym wystawiono sztukę żydowską p. Antoniego Słonimskiego, w innym — polską p. Adama Grzymały-Siedleckiego. Prasa warszawska, obecnie w większości swojej powolna interesom „sanacji“ i żydów, nastawiła się na bojkot względem Siedleckiego, a na gloryfikację sztuki Słonimskiego. Walka o publiczność? Zapewne, choć to śmieszne w tak dużem mieście; ale gdyby nawet nie było jednocześnie sztuki żydowskiej, utwór Polaka, nie należącego do masonerji, byłby tak samo bojkotowany. Patrząc na takie walki, my tutaj z ubocza uczymy się poznawać odrazu, kto z pisarzy polskich należy do masonerji, kto nie.

Paskudny to okres dziejów, gdy na żadnem polu nie można być pewnym prawdy, jak na maskaradzie. W największem ognisku kultury, w stolicy swojej pisarz polski czuje się gorzej, niż w obcem mieście, bo jest planowo ścigany. Publiczność w każdym podobnym wypadku, gdy autor polski jest przemilczany lub wydrwiony, narazie zbita z tropu, zachowuje się biernie i dopiero po pewnym czasie, dowiedziawszy się prywatnie o wartości dzieła, nadciąga do teatru i autora rehabilituje. Tak się też stało i ze sztuką Siedleckiego.

Naogół jednak polityka ta na polu twórczości literackiej i artystycznej cele swoje osiąga, dyrekcje bowiem teatrów, czy też wydawcy terroryzowani, a zresztą uzależnieni od żydów i masonerji, okopują się w pierwszym szeregu przeciwko autorom narodowym, jako wrogom państwa i „prawdziwej” kultury. Pisarz, nie należący do masonerji, daremnie będzie kołatał do wydawców, wszyscy już dzisiaj uzależnieni są od kredytów, subsydjów lub kontroli żydowskiej. Książki treści czysto literackiej nikt z nich nie wyda, jeśli nazwisko autora uchodzi w tych sferach za nieprawomyślne. Niema przytem mowy o wartości pracy i potrzebie wydania:

— Jakże pan może wymagać od nas czegoś podobnego?—odpowiada po przyjacielsku przedstawiciel wydawnictwa literackiego. — Gdybyśmy wydali książkę z pańskiem nazwiskiem, stracilibyśmy od jutra subsydja.

Księgarnie żydowskie, opierające swoje obroty na dziełach polskich autorów, zachowują się wprost arogancko.

— Dlaczego — pytamy telefonem wydawnictwo literackie — nie przysyłacie do recenzji książek?

— Proszę przysłać na piśmie, o które książki chodzi.

— Podań nie będziemy składać. W interesie książki X leży, abyśmy ją mieli. Od roku na nią czekamy, dzwoniliśmy...

— To jakieś nieporozumienie...

— Ale za długo trwa.

— Powiem prawdę, nieporozumienie pochodzi stąd, że redakcja nie przestrzega bezstronności w ocenie...

— Oho! Sądom księgarni nie mamy ochoty się poddawać... Czekamy.

Na tem się rozmowa urwała. Książki nie przysłano. Jest to autentyczna rozmowa moja z księgarnią warszawską, wydającą dzieła Żeromskiego i Norwida. Trudno przypuszczać, że księgarnia nie wie nic o tem, ile „Myśl Narodowa” poświęciła miejsca twórczości Żeromskiego i Norwida. Pewno wie, ale ważniejszą dla niej rzeczą jest wykonywanie planu politycznego: nie uznaje się obozu narodowego. A to już jest zuchwałe.

Żydzi, przy pomocy masonerji, dawno już wkroczyli w *meritum* twórczości polskiej. Już nie handlują tylko towarem polskim, ale biorą udział w wytwarzaniu towarów, chcą mieć głos decydujący w opinji publicznej, w wyborze dróg twórczości i haseł. Krytycy muszą już składać w sklepach podania piśmienne o książki i podpisywać deklarację, w jakim duchu mają je oceniać.

Pomyślano też o podręczniku dla krytyków. Stara firma Gebethnera i Wolffa, która dawniej wydawała studja Tyrzyńskiego, Chmielowskiego, Chlebowskiego, teraz zamknęła się na cztery spusty od krytyki, uczynić jednak musiała jeden wyjątek: wydała obecnie dzieło Leona Pomirowskiego (Pompera) p. t.: „Nowa literatura w nowej Polsce”.

Oczywiście w „nowej” Polsce, zupełnie nowej, nie mającej nic wspólnego ze starą. Tamta zbankrutowała, zlikwidowana, pozostała tylko firma. I rzecz nowa i właściciele nowi, niby kawiarnia po „dokonaniu gruntownego remontu”.

Dzieło p. Pomirowskiego prezentuje polską literaturę w przekroju stanu obecnego, od r. 1919. Były już w Polsce robione takie zdjęcia. W r. 1830 mieliśmy Maurycego Mochnackiego, który schwycił na gorąco okres romantyzmu. Zwrot pozytywistyczny uchwycił autopsyjnie Piotr Chmielowski (1881, cztery wydania, ostatnie 1898: „Zarys najnowszej literatury polskiej”). Kontynuatorem jednak Chmielowskiego był już żyd, Wilhelm Feldman. Jego dzieło 4-tomowe, ostatnio p. t. „Współczesna literatura polska”, doczekało się ośmiu wydań (1902—1930). Ostatnie wydanie Krakowska Spółka Wydawnicza postanowiła uzupełnić obrazem literatury powojennej i uzupełnienie to powierzyła prof. Stefanowi Kołaczkowskiemu. Widocznie szkic ten, zrobiony nie przez „narodowca”, ale bezstronnie nie przypadł de-kaden-cji do smaku, bo oto p. Pomirowski, współredaktor „Pionu”, więc osobistość dzisiaj pół-urzędowa, pisze na poczekaniu (widocznie na obstalunek) podręcznik dla krytyków.

Punktem wyjścia p. Pomirowskiego jest teza, tak uproszczona, jakby zaczynał świat od siebie, odkąd sam zaczął czytać. Wojna według niego wszystko przekreśliła; zaczęła się „nowa rzeczywistość”, a z nią nowa literatura; „społeczeństwo ciągle jeszcze przeżywa tę rzeczywistość, jak obce ciało w swoim organizmie”. Nowa ta rzeczywistość stała się „zjawiskiem prawie egzotycznem i pełnem niespodziewanej treści”...

Skądby Polakowi zdarzyć się mógł taki punkt widzenia: obce ciało, egzotyczność, niespodzianka, całkiem „nowa społeczność”? Literatura usiłuje „w głębinach powszedniości niepodległościowej odnaleźć twórcze źródła nowych widzeń”. Nowa Polska, nowa społeczność, nowy człowiek, nowe widzenia nowej powszedniości —

„niepodległościowej”! Bowiem „wojna wykazała, że najgroźniejsze(!) możliwości tkwią w duszy pospolitego człowieka. Niedarmo powystawiano tym „nieznanym żołnierzom” pomniki i znicze”...

Szkoda, że p. Pomirowski nie zdecydował się zostać „nieznanym literatem”; tyle w nim „tkwi” groźnych możliwości, choćby to odbieranie nam przeszłości. Leży to jednak w założeniu sanacyjnego „budownictwa kultury”, abyśmy zagubili pamięć, cień swój historyczny, jak w owej historji Chamisso o człowieku, który zgubił swój cień. Wszystko na nowo się zaczęło od grobu „nieznanej Polski”.

Nowa literatura polska według p. P. zaczyna się od futurystów i dadaistów, najwyższy zaś szczyt osiągnęła w Kadenie Bandrowskim, wobec którego nawet Parnas Skamandra jest tylko pagórkiem. A wszystko to nieprawda, bo i futuryzm i p. Kaden — to zjawiska przedwojenne. Można sobie wyobrazić, jaką hierarchję wielkości autor ustalił i kogo tam brak. Dosyć powiedzieć, że nie zauważył nikogo z akademji Medyckiej: (Pawlikowskich trzech, M. Wolska, B. Obertyńska), oczywiście nie zauważył A. G. Siedleckiego jako dramaturga i powieściopisarza, nie spostrzegł Szpotańskiego, Szpyrkówny, Miłaszewskiej i w. in. O pisarzach żydowskich — bardzo obszernie.

Jednem słowem, założono nam nową księgę hipoteczną literatury polskiej, gdzie już tytuł własności mieszany, polsko-żydowski. Pieczęć ta sama, co na Akademji Literackiej — konjukturalna. Przed paru tygodniami miałem sposobność wskazać na przykładzie p. Brandstaettera, nowego literata w nowej Polsce, w jaki sposób z poczwarki, wyhodowanej w szkole polskiej, wytwarza się (że sięgnę do słownika Nowaczyńskiego) „motyłek” polsko-syjonistyczny. Budując dalej w ten sposób kulturę literacką, pod auspicjami Akademji, według wskazówek p. Kadena Bandrowskiego, dojdziemy rychło do tego, że nasz Parnas będzie wyglądał, jak Pociejów lub plac Kercelego.

Stary pień kultury polskiej nie wytrzyma na sobie tak wielkiej jemioły. Musi nastąpić w przyrodzie naszego życia organicznego walka między drzewem polskim, do którego Mochnacki tak ładnie przyrównywał cywilizację, a jemiołą. Literatura polska nie może śpiewać dwugłosem polsko-syjonistycznym. A czemże jest dusza każdego skamandryty, jak nie rozdarciem czarnolesko-palestyńskiem według kompleksu Brandstaettera?

Dlatego więc przenoszę uwagę czytelników na arenę literacko-artystyczną, nawet tych, którzy tu niechętnie zaglądają. Dzieją się bowiem na tej arenie rzeczy ogólniejszego znaczenia. Parnas polski nigdy nie był rezerwatem, wyosobnionym z życia publicznego, obecnie zaś w czasie planowej ofensywy na duszę polską, stał się w naszem osiedlu centralnym punktem handlowym. Tutaj — w drodze handlu wymiennego, podstępu i oszustwa, bojkotu i terroru — toczy się walka o „stan posiadania“ duszy polskiej. Sąsiaduje zaś ten plac z targowiskiem wychowania publicznego, gdzie odbywa się proces analogiczny.

W ręce obce przechodzą nietylko kamienice i warsztaty przemysłowe, ale także kultura duchowa. A to już jest wyprzedawanie duszy. Straty materjalne można powetować; wyzbycie się duszy — to śmierć. W handlu istotą rzeczy jest zmiana tytułu własności, gdy zaś mowa o duszy narodu, to tutaj chodzi — ani mniej, ani więcej — o wymianę jaźni: kto ma być owem wielkiem, decydującem o tytule własności, JA polskiem. Dzisiaj nie jest już tajemnicą, że „reflektantem“ na to Ja, coraz bardziej natarczywym, są żydzi. Obecnie są oni u szczytu dobrej dla siebie sposobności.

Nie jest to tajemnicą, ale nie wszyscy w Polsce jasno rzecz rozumieją z tego powodu, że po obu stronach na tym targu widzi się Polaków. Oczywiście żydzi sami i bezpośrednio nie mogliby rynku tak poufnego opanować, posługują się masonerją, wielostopniowo, rozmaicie po lożach rozlokowaną, niezawsze zdającą sobie sprawę ze swej niewoli. Potulne te „zwierzęta domowe“ żydów wykonywają na targowisku wszystkie operacje, mające na celu osaczanie obozu narodowego. Odbywa się coraz pośpieszniej organizowanie zarówno wytwórczości, jak i odbiorców. Praca idzie tem pośpieszniej, że z każdym rokiem przybywają coraz większemi falami nowe zastępy wykształconych w szkole polskiej żydów, którzy zmieniają nazwiska na brzmiące po polsku i zajmują stanowiska kierownicze w masońskiej organizacji.

Obowiązkiem jest mówić o tych zabiegach otwarcie. O wszelkiego rodzaju konspiracjach można milczeć dyskretnie, gdy odsłanianie ich ściąga niemiłe dla ludzi interesowanych następstwa; obecnie konspiratorzy sami chełpliwie się demaskują, jawnie wydając komendę a pokrzykując wojowniczo. Wytworzyły się fronty dla każdego widoczne. Żydzi obecnie już nie tają, że hasło „Syjonu“ nie jest bynajmniej tylko dla Palestyny. Palestyna to tylko pretekst dogodny. W Polsce mogą oni również swoją jaźń narodową politycznie zrealizować.

Dwie głowy w tej „nowej“ Polsce mają zdobić orła „niepodległościowego“. O jedną zadużo.

ZYGMUNT WASILEWSKI

GŁOSY

PUBLICYSTYKA — używamy nieraz tego słowa, nie zastanawiając się nad niskim stanem publicystyki w Polsce. A przecież nie trzeba długiego zastanowienia, żeby spostrzec, w jakiej dysproporcji zostaje twórczość publicystyczna do rozmiaru państwa i potrzeb politycznych narodu w dobie obecnej. Zauważmy przedewszystkiem, że przetworzenie się społeczeństwa (w warstwie inteligentnej) na społeczeństwo urzędnicze, zależne, nie wyszło publicystyce na dobre. Publicystyka musiała stracić akcenty przekonywające, gdy nieczęsto mógł w niej dojść do głosu wyraz śmiałych, osobistych przekonań. Nie mogła też powiedzieć nic ciekawego, skoro piszący nie mieli do zwierzenia żadnych poważniejszych przemyśleń. Nie mogła wreszcie wytrzymać próby przedruku i publikacji w książkach, kiedy uniemożliwił to brak dostatecznego talentu u pisarzy. Powyższe, dość dokładnie określa wartość dorobku całej publicystyki obozu „sanacji“. Książka b. ministra Kwiatkowskiego, „Dysproporcje“, doskonale uwydatnia dysproporcję między powagą zagadnień, a nieudolnością umysłową traktowania. Pod tym względem jest reprezentatywna. Obóz „sanacji“ nie zdobył się ani na jedną książkę, którąby wywarła znaczniejszy wpływ na umysły i przygotowała jakąś zmianę w pojmowaniu spraw politycznych. Pomysł „elity“ kształcił się i doskonalił w ustnej tylko dyskusji, aż dojrzał i zamienił się

w pojęcie elity pensyj. Nie wzbogaciło też dorobku publicystyki zetknięcie się wielu ludzi z zagranicą, dzięki zajmowanym stanowiskom urzędowym. Wiedza o świecie niewiele przez to w Polsce wzrosła. Publicysta „Gazety Polskiej”, Florjan Sokołów, przebywający w Anglji, bardzo niedawno jeszcze nie odróżniał opactwa westminsterskiego od westminsterskiego parlamentu. Znajomość narodów obcych nie odbiła się w literaturze tego obozu, może dlatego, że pojęcie narodu wogóle stało się dla jego ludzi zbyt wysokie i trudne. Poprzestaje się na pojęciu państwa, dostępnem umysłowości najprymitywniejszej, bo redukującem się do pojęcia przymusu. To też mimo rozgałęzionych stosunków z zagranicą zrozumienie psychologji narodów obcych nie upowszechniło się bynajmniej. Publicyści poprostu nie umieją o tem pisać, brak im pierwiastkowego rozumienia rzeczy podstawowych. P. Stanisław Łoś, publicysta „sanacyjny“ o odcieniu zachowawczym, chcąc dać pojęcie o odrębności Polaka i Anglika, tłumaczył, że Anglik, na miejscu Polaka, gotów byłby oddać Pomorze, pod warunkiem, że nie ucierpiałby na tem polski handel z tą prowincją... Pisząc to, nie zastanowił się, czy Anglik tak samo myśli o Kencie, jak o Iraku... Ale poco mnożyć przykłady. Cała produkcja publicystyczna obozu „sanacji“—to obraz zdumiewającej pustki myślowej, zionącej zresztą więcej z łamów gazet, niż z książek, bo, jak powiedzieliśmy, artykuły, pisane bez talentu, nie znoszą przedruku—i nie są w książkach wydawane. Kto może wyobrazić sobie przedruk artykułów p. Miedzińskiego albo p. Matuszewskiego z „Gazety Polskiej“?

Uwagi powyższe cisną się pod pióro, kiedy się myśli o najnowszej książce Dmowskiego: „Przewrót”. Nie tu miejsce na omawianie jej treści. Inne pióra zajmą się tem na łamach „Myśli” obszernie. Tu chcemy zanotować tylko niektóre wrażenia, jakie odczuwa czytelnik, biorąc do ręki dużą księgę, podaną mu na gwiazdkę przez znakomitego pisarza. Przedewszystkiem ponowne uświadomienie sobie wyjątkowej pozycji pisarza w publicystyce polskiej. Niczyje dzieła tak nie ogniskują około siebie dyskusji publicznej, niczyje nie są w tym stopniu czynnikiem wyższej oświaty politycznej. Publicystyka polityczna Polski w dużym stylu — to właściwie Dmowski, i na tem koniec. Czem tłumaczy się jego samotność? Wśród wielu przyczyn chcielibyśmy tu wskazać jedną. Dmowski meblował głowy, ale (z nielicznemi wyjątkami) nie pobudził ich do myślenia samodzielnego. Nie było to zaiste winą pisarza, ale skutkiem faktu, że w powszechności czytających zamiłowanie bezruchu umysłowego i pragnienie ortodoksji jest tak znaczne. Niedostatecznie bierze się pod uwagę cały osobisty i eksperymentacyjny charakter myśli Dmowskiego. Autor „Przewrotu” myśli głośno, dążąc do zgłębienia najgruntowniejsz go zagadnień, do prawdy. Pisma jego, śmiałe, pionierskie, żywotne postępem myśli, nie kontentujące się osiągniętemi wynikami, z natury rzeczy więcej się nadają na szkołę samodzielności umysłowej, niż na szkołę ortodoksji. W społeczeństwie umysłowo ociężałem, w zastępie publicystów — rutynistów, zdumiewająca żywotność najznakomitszego publicysty uczyniła zeń zjawisko nazbyt odosobnione... Stwierdzając to, podnieść także zarazem wypada, że niema w Polsce drugiego pisarza politycznego, któryby docierał do kół inteligencji czytelniczej tak szerokich, i którego słowa tak brane byłyby do serca. Niema też drugiego, z którym obcowanie sprawiałoby czytającym tyleż przyjemności umysłowej. Darem sztuki jest zawsze potęgowanie życia. Jak z Bachem czy z Chopinem słuchacz martwi się i triumfuje, wychodząc poza obręb przeżyć, do których sam w danej chwili byłby zdolny, jak od poezji zmęczony *homunculus* pożycza skrzydeł, tak też rzadkiej przyjemności doznaje czytelnik myśląc myślą Dmowskiego, przenikając zagadnienia jej energją. Cenny zaiste jest dar książki, zdolnej dać poczucie, że czytelnik umysłem rozprzestrzenia się wszerz i wgłąb zagadnień wielkich, i lepiej wzrokiem ogarnia perspektywę losów ojczyzny i świata.

Nie zamierzamy wcale jednostronnie tutaj obwiniać „sanacji“. Cała publicystyka polska jest nad wyraz uboga w talenty. Dotyczy to i obozu narodowego, którego także nie stać było na dostateczną publicystyczną twórczość. Publicystyka, wbrew pozorom, nie jest tylko sztuką, obliczoną na efekt chwilowy, jak uśmiech, gest, czy żywe słowo. Zmierza do wywołania skutku doraźnego, ale może oddziaływać i trwale. Nieprzemijającą wartość nadać jej zaś może jedynie — talent piszącego. Żywot artykułu w ogromnej większości wypadków nie dłuższy jest od egzystencji jętki jednodniówki. Z drugiej strony zadziwia niepożytość publicystyki, której słowo i duch nie wietrzeją nawet wówczas, gdy teza przestała już być aktualna. Dmowski równie jest niepożyty wtedy, gdy w „Myślach nowoczesnego Polaka” snuje refleksje o tem, że narody starzeją się i ze starości umierają, jak wtedy, gdy w „Świecie powojennym i Polsce” pisze: „Przedewszystkiem trzeba sobie wybić z głowy, że narody umierać mogą ze starości”. Nie jest wcale paradoksem spoglądanie na publicystykę pod kątem pytania, co z niej wejdzie na stałe do dorobku wartości narodowej cywilizacji. Gdy tak postawimy kwestję, znaczenie prac pisarskich Dmowskiego uwydatnia się odrazu z plastyką należytą. Nieporównane połączenie w jego pismach logiki i wyobraźni, temperamentu i rygoru pisarskiego, wyposaża nawet artykuły dziennikarskie jego pióra w nerw życia, konserwujący trwale rzeczy dobrze zrobione. Sama siła umysłowa, nie wspomożona talentem artystycznym, nie jest w stanie dokonać tego dziwu konserwacji. Nielitościwy bywa wyrok czasu na utwory, nie mające w sobie niepożytości artyzmu.

KRZESEŁKO

W związku z fejletonem „Na widowni“, zamieszczonym w poprzednim numerze „Myśli Narodowej“, otrzymaliśmy następujące uwagi:

Redaktor Rembieliński był poprostu zmęczony. Dobrze, że to już piąta i będzie można odpocząć po nużącej redakcyjnej pracy. Odpoczynek zasłużony, bo wczorajszy numer „Myśli“ udał się. Udał się może nawet zbyt dobrze, jak na naszą cenzurę, i wzbudził jej poważne zainteresowanie, czego wynikiem opóźnienie jednodniowe w kolportażu i biała plama konfiskaty w nowym nakładzie. Wolnym krokiem Redaktor

przeszedł do swego gabinetu. Tu już był naprawdę u siebie, sam wobec swych myśli, tak łatwo płynących w atmosferze kultury i spokoju, cechującej skromny redaktorowy apartament. Wzrok jego padł na wysokie oparcie starego rzeźbionego fotela, na którem promienie zachodzącego słońca wyczarowały całe gamy blasków i półtonów. Czarny dąb, w zestawieniu z ciepło rdzawą materją obicia, napawał Redaktora poczuciem radości i spokoju. By oderwać się od poważnych rozmyślań, Redaktor zatopił się w ostatnim numerze „Pionu". Nie zawiódł się, już po przeczytaniu pierwszej szpalty, głowa opadła mu na piersi... zasnął. Nie budźmy go, niech śni spokojnie! W tej samej chwili w pokoju Redaktora dał się słyszeć szelest: to ostatni numer „Myśli" zsunął się z półki na stojące skromnie w kąciku metalowe krzesełko (trudno, nie można go było tam nie postawić, bo to prezent od dwóch młodych, niepoprawnych architektów). Stało się to hasłem do ogólnej dyskusji. „Nareszcie"—zawołało „Ład"-ne krzesło — „rozprawiono się z twemi pretensjami do sztuki, kuzynku dentystycznego fotela. Masz odpowiedź na swoje postulaty jakiejś tam celowości, o którą robisz tyle krzyku. Dobrze ci tak. Przewróciło ci się w głowie razem z całym twoim chromoniklem. Jesteś nudne, sztywne i bez wyrazu. Człowiek, który musiałby na ciebie ciągle patrzeć, nie czułby się dobrze, a całe wnętrze, skomponowane w pokrewnym tobie duchu, byłoby zbliżone do nowoczesnego więzienia lub conajwyżej do sali operacyjnej". Biedne metalowe krzesełko milczało i gdyby nie i tak czerwony już kolor jego oparcia, to napewnoby się zaczerwieniło. „Przeczytaj ostatni numer „Myśli", — ciągnął dalej fotel — „a przyznasz w swej zarozumiałości że „królewski" przykład Redaktora postawił kropkę po dyskusji. Toć idąc logicznie po drodze, jaką obrałeś, ty rzeczywiście chciałobyś widzieć audjencje królewskie, przyjmowane na fotelu dentystycznem. Świetne zestawienie!— przyznasz chyba. Walcząc o celowość i oszczędność, odbiegasz czasami tak dalece od tych założeń, iż chwilami przypominasz mi wynalazcę, który w imię uproszczenia życia, po długich obliczeniach skonstruował maszynę elektryczną do gaszenia świecy. W pogoni za ekscentrycznością rzucasz się na materjały zupełnie ci obce i niewłaściwe i robisz głupstwa. Zachłysnąłeś się możliwościami konstrukcyjnemi i gdyby cię postawić twarzą w twarz wobec twych założeń celowości i oszczędności, to musiał byś się zawstydzić. My umiemy stworzyć nastrój, nasz kształt, to przejaw twórczego wysiłku, na którego widok oko doznaje prawdziwych wzruszeń estetycznych". „Bardzo przepraszam, że ośmielę się przerwać" — skromnie zauważył metalowy kopciuszek—„ale mówisz tak, jakbyś kształciło swoje pojęcia o modernizmie na wnętrzu „Adrji" czy kina „Majestic". Ustalmy odrazu, że nie wszystko to, co zostało dziś zrobione, jest „nowoczesne". Nowoczesność to słowo, do którego używania należy się nie byle czem wylegitymować. Ale *à propos*, czy wiesz, co to takiego statyka?" — „Nie" — „A widzisz. Na tem polega całe nieporozumienie. Poprostu do dziś dnia, mówiąc o wzruszeniu estetycznem, jakiem jesteś dla oka, nie zdążyłoś zauważyć zasadniczej rzeczy, która zaraz ci wiele wyjaśni. Jak by ci to powiedzieć? Ja nie umiem bardzo przemawiać... ale już mam to, o co mi chodzi. Poprostu nie zauważyłoś, że człowiek styka się z nami najczęściej nie przy pomocy oka. Przepraszam cię bardzo, nie uśmiechaj się ironicznie, to prawda głęboka i należy z niej wyciągnąć właściwe wnioski. W swych poszukiwaniach linji i kształtu nie zauważyłoś, że tak *par excellence* utylitarna rzecz, jak krzesło, musi być stworzona przedewszystkiem pod kątem tej pracy, jaką musi wykonać. Ściśle określone siły, jakie działają na krzesło, wywołują ściśle określone naprężenia i właśnie statyka jest tą nauką, która daje nam możność racjonalnego rozłożenia tych sił, zgóry już narzucając wzajemne proporcje, których nawet dla „twórczego wysiłku" i najwytworniejszej linji nie wolno pominąć. Czy nie zastanawiałoś się, że gdyby pokazać krzesło człowiekowi pierwotnemu, a on na nie by spojrzał nie umiejąc go skojarzyć z pozycją siedzącego człowieka, to napewno uderzyłaby go niezrozumiałość tego kształtu. Gdybyśmy i my potrafili abstrahować całkowicie od utylitarnej strony krzesła, to wydałoby się nam ono conajmniej śmieszne, tak jest ono nieodłącznie skojarzone z celem, do którego służy. Nie przeczę, że robi się dziś dużo mebli, których jedyną zaletą jest to, że są łatwopalne, a przeciwnie, jest bardzo wiele antyków, które umiały połączyć piękne proporcje z daleko posuniętemi wymogami racjonalności. Wierz mi, że również jak i ty, mam kult dla piękna, ale czuję dobrze, że wszystko to, co jest słuszne i logiczne, jest nadzwyczaj bliskie pięknu i dlatego jestem o swoją przyszłość spokojne. Jestem przekonane, że stary fotel Redaktora jest mi bliższy, niż tobie. Zastanów się przecież, że i ty s t o i s z t u t y l k o d l a t e g o, b y n a t o b i e s i e d z i e ć, bo przecież gdyby tak nie było, zastąpionoby cię czemś, zawierającem znacznie więcej możliwości twórczych. Jesteśmy przedewszystkiem po to, by na nas siedzieć, a dopiero potem, by na nas patrzeć, więc..."

Redaktor obudził się nagle, śniło mu się, że musiał jeść obiad i pisać artykuły na wspaniałym, wysokim tronie królewskim, i na samą myśl o tem czuł ból w krzyżu, a zupełnie jakoś nie przyszedł mu na myśl „jakiś odblask idei o królewskiej dostojności człowieczeństwa"...

STANISŁAW JANKOWSKI

NAUKA I LITERATURA

„BLOK CZERWONO-BŁĘKITNY"

JEDNO z najbardziej interesujących zagadnień naszego życia politycznego współczesnego to „sanacja", którą tworzy trzon radykalno-konserwatywny. Połączenie wody z ogniem niejako; blok dwu przeciwnych elementów. Ten aljaż intryguje. Niejeden i nieraz zadaje sobie pytanie: co za alchemika było potrzeba i jakiego tygla, aby wytopić taki aljaż. Sprobował odpowiedzieć na to pytanie i p. Stanisław Zalewski, utalentowany publicysta, pisząc książkę p. t.: „B l o k c z e r w o n o - b ł ę k i t n y" (Warszawa 1933, str. 287), która w niedługim czasie ukazała się na półkach księgarskich w drugim nakładzie. Autor wychodzi z założenia, że historyczna szkoła krakowska, bezwiednie nawet, stała się podstawą historjozoficzną polskiego radykalizmu. Radykalizm polski czerpał z tej historjozofji swe sądy o roli warstw historycznych i podstawy do ekskuzowania się ze swej koncepcji państwowości polskiej. P. Zalewski twierdzi, że krakowska szkoła historyczna, narzuciwszy społeczeństwu swe doktryny, wywarła ogromny wpływ na układ stosunków wewnętrznych w Polsce; doktryny tej szkoły wywarły też wpływ na nasz radykalizm społeczno-gospodarczy. P. Zalewski posuwa się nawet do twierdzenia, że ideą siły polskiego

radykalizmu w r. 1926 była doktryna szkoły krakowskiej. Sądzę, że jest to zbyt prostolinijne tłumaczenie. Zwrócić trzeba uwagę na jeden fakt, np. jeden z historyków szkoły krakowskiej, prof. Bobrzyński zaznacza, iż upadek swój Polska zawdzięczała cofnięciu się swemu z Zachodu na Wschód. A radykalizm polski zarówno przed, jak i po maju r. 1926, wykazywał dążenia ku Wschodowi.

Ciekawe i trafne są pewne analogje, na które autor zwraca uwagę. Mianowicie w okresie Rzeczpospolitej królewskiej była magnaterja, przeważnie bogacze kresowi, którzy na swych usługach mieli proletarjat szlachecki. Ten proletarjat, mający za cały majątek karabelę, gotów był każdej chwili poprzeć swych protektorów, bo żył ich kosztem. Ale dzięki tej współpracy tych dwu warstw (magnaterji i proletarjatu szlacheckiego) zgnieciony został rozwój stanu średniego.

Jest to zjawisko, które w dziejach Polski ma charakter szczególnej stałości. W r. 1911 na terenie galicyjskim zauważyć można było charakterystyczny epizod. W roku tym podczas wyborów parlamentarnych połączyły się dwa obozy: skrajnej reakcji i skrajnego radykalizmu w tym jedynie celu aby nie dopuścić do wpływów politycznych warstwy średniej, reprezentowanej przez narodową demokrację. Ten blok czerwono-błękitny, który rodowód swój wyprowadza z okresu przedrozbiorowego jeszcze, powiększył swój zasięg wpływów podczas wojny. Do N. K. N. bowiem weszła i P. P. S. — układ stosunków w Polsce po zamachu majowym, to panowanie bloku czerwono-błękitnego, który jest skierowany przeciw warstwie średniej. Ta współpraca polityczna tych dwu grup społecznych niszczy warstwy średnie. Przeciw nim skierowana jest cała polityka gospodarcza i społeczna państwa. Jest to niezmiernie charakterystyczne zjawisko dziejowe o szczególnej ciągłości i powtarzalności. Obecny blok czerwono-błękitny, który przeprowadza teraz selekcję ludzi („elita“!), decyduje o tem, na czyją rzecz mają się sprawować rządy w Polsce. Żyd zaś w Polsce przedrozbiorowej rozpijał chłopa i był często bankierem magnata, słowem pompował materję kapitałową. Dziś także: *exemplum* wiceprezes klubu BB. poseł Wiślicki *e tutti quanti*. Około naczelnego szkicu o „bloku czerwono-błękitnym“ autor zgrupował kilka innych, dotyczących spraw aktualnych, jak np. inteligencja i państwo, moralność w polityce, psychoza gospodarcza, obcy, porty polskie itp.

Książka p. Stanisława Zalewskiego jest owocem rozmyślań publicysty nad aktualnemi sprawami polityki polskiej. Dzięki temu, że autor myśli własną głową, porusza sprawy ważne, pisze ciekawie, książka jego zasługuje na to, aby była czytana i omawiana. (L—R).

Z RUCHU WYDAWNICZEGO

Na 50-ą rocznicę śmierci Cyprjana Norwida przypadło obrządzenie zgrubsza nieznanej dotąd puścizny po tym artyście. Zenon Przesmycki, wywiązując się z obowiązku posiadacza nieznanych Norwida rękopisów, wydał teraz z datą 1933 (z funduszu L. Wellisza, skład w księg. Mortkowicza w Warszawie) w trzech tomach „Cyprjana Norwida *inedita*“. W pierwszym, najobszerniejszym zamieścił niedrukowane dotąd wiersze (o czem już donosiliśmy), w drugim tragedję w 3 aktach (wierszem) „Pierścień wielkiej damy“, w trzecim pt. „Rozprawki epistolarne“ siedm listów. Wszystkie te pisma starannie i, jak zawsze, z wielką erudycją wydawca skomentował. Obecnie więc można już objąć liczbą całość dobytej z archiwów produkcji literackiej Norwida. Poza wydanemi przez Przesmyckiego tomami „Pism zebranych“, dopełnionemi w jego antologji, tem, co wydał w książkach Zrębowicz, poza wydanemi teraz w „*Inedita*“ utworami, reszta leży rozrzucona w czasopismach. Bądź co bądź wszystko, co znaleziono, jest już wydrukowane i dostępne. Niktnie ma prawa utyskiwać, że tajemnica „nieznanego“ przeszkadza mu urobić sobie pogląd na Norwida. Dodać należy, że jednocześnie Przesmycki ogłosił w czasopiśmie „Drogi“ komedję Norwida „Miłość czysta u kąpieli morskich“ oraz dwa jego listy do M. Dziekońskiej. Zeszytu tego „Dróg“ nie uznano za stosowne nam przysłać, więc nabyliśmy go i z uznaniem podnieść możemy wysoką jego wartość, zwłaszcza — ze względu na rozprawę St. Kołaczkowskiego „Ironja Norwida“. Są tam poza tem prace pp. Kosińskiego, Flukowskiego, Dobrowolskiego, Horzycy, Arcimowicza Wyki, Zawodzińskiego, Kridla, Makowieckiego i in.

*

Ukazała się w przekładzie polskim broszurka autora angielskiego W. S. Lilly „Dobro i zło“ (Poznań, skł. główny w księgarni św. Wojciecha, str. 87), która w sześciu szkicach porusza etykę dziennikarską, etykę sztuki, własności, kary, małżeństwa, polityki. Zwróćmy uwagę na to zwłaszcza, co pisze autor o etyce dziennikarskiej i etyce polityki. Powiada słusznie, że prasa w czasach ostatnich przyczyniła się znacznie do „odmoralnienia“ życia publicznego; do przyłożenia topora do korzenia pierwiastków tej moralnej wielkości narodów, która jest prawdziwą ich wielkością. Ongi św. Paweł głosił drżącemu przed nim wielkorządcy rzymskiemu o „sprawiedliwości i sądzie, który ma przyjść“. Utarło się przekonanie, że polityka nie ma nic wspólnego z moralnością, a dobro i zło są tylko produktem głosowania! Nic mylniejszego. Warto przypomnieć słowa Miltona:

„Groźna i władcza Nemezys,
Córo sprawiedliwości surowej!
Królowo sił rządzących tutaj,
Której pewna, prędka dłoń
zawsze jest bliska.

Gdybyśmy o tem pamiętali, mniej byłoby zła na świecie. Tak się rzadko w czasach dzisiejszych pisze i mówi o moralności, że broszurkę Lilly na temat „Dobro i zło“ czyta się z przyjemnością. (L.)

MUZYKA

FILHARMONJA. Dwunastego stycznia, w piątek, grał w sali Filharmonji Alfred Cortot. Można pisać o jego doskonałej technice, podnosić jej walory i podkreślać cechy—lecz wydaje mi się to zbędnem, bo mówić o wirtuozji p. Cortot—to jeszcze za mało. Artysta jest wirtuozem dużej klasy. Wie o tem publiczność, wie o tem on sam. To też grał nie z celem ukazywania umiejętności technicznych — używał ich dla wydobycia tego, co chciał osiągnąć, dla swojej własnej interpretacji.

I w tem jest duża różnica pomiędzy nim, a przeciętnym pianistą, popisującym się na estradzie. Tu i przyczyna grania programu „niekoncertowego“. Bo estrada i sale koncertowe mają, niestety, swój program. Idzie on po linji tego popisu. Mówi do publiczności: „Słuchajcie, jakie to trudne!“. Nie ciekawe, nie piękne, nie głębokie, a trudne. Dlatego wykonanie koncertu *c-dur* Beethovena niektórych zdumiało. Nie mogło się w głowie pomieścić, dlaczego artysta, mając możność wybrać koncert trudniejszy, wybrał ten właśnie. „Przecież grają go na trzecim kursie...“— usłyszałem mimowoli podczas przerwy. Mówiąca te słowa należała oczywiście do tej części publiczności, za którą nie czuję potrzeby się wstydzić. Brylantowe guziki Thalberga zawsze jednak są symbolem...

Cortot grał to, co mu się podobało i miał rację, ale czy ją posiadał, jeśli idzie o to, jak mu się podobało, to sprawa druga. Cortot grał na *bis*, oprócz dwu etiud, walca *as-dur* Chopina. Stał się on w interpretacji artysty małym poematem muzycznym, pozbawionym zupełnie charakteru tej formy, w jaką ujął Chopin to, co chciał powiedzieć. Nie ulega chyba kwestji, że forma walca nie była tu jedynie przypadkiem i że nie można jej lekceważyć.

Walc *as-dur* odegrany był stanowczo za wolno, nawet jego pierwsza część, nie mówiąc już o następnych, a przecież sam Cortot pisał kiedyś, że „można nawet Bacha grać z niejedną licencją co do tempa; Chopina tak grać niepodobna. Potrzeba tu coprawda swobody, ale w ścisłych ramach, nie pozwalających na dalekie odchylenia“. Uwadze tej, wypowiedzianej z okazji omawiania ścisłości rytmicznej w muzyce chopinowskiej, trudno jest nie przyznać racji — tem trudniej o przyznanie jej interpretacji tak daleko posuniętej, jak to słyszeliśmy w piątek. Było to jednak odchylenie za dalekie.

W. NARUSZ

FILM

ATLANTIC: „Wyrok życia“ reż. Gardan

Jeszcze na żadnym filmie czas tak mi się nie dłużył. Zdawało się, iż siedzę w kinie Bóg wie jak długo; godziny płynęły w nieskończoność, a przecież właściwie była to tylko godzina z „czubem“. Skąd więc takie wrażenie? W porównaniu z innemi, ten film nie grzeszył nawet gadatliwością: treść literacką opowiedziano przy pomocy obrazów,

względnie zwartych i lakonicznych, w swej wymowie wizualnej. Reżyserja Gardana, acz nie oryginalna, wykazuje daleko większą staranność w opracowaniu całości, niż dwa poprzednie, omówione już tu, filmy krajowych wytwórni. Także i większą dyskrecję w rysowaniu scen zbyt dosadnych. Nużące wrażenie dłużyzny wywiera powolne tempo i nikła akcja. Na przestrzeni całego szeregu obrazów, lakonicznych, jak już powiedzieliśmy, w swej treści plastycznej, niewiele się dzieje. Przy powolnym toku fabuły napięcia zainteresowania widza nie podsyca również nie istniejący tu moment niepewności: co dalej? Co będzie dalej, każdy doskonale wie, w każdem miejscu filmu. To jest drugi powód ujemnego wrażenia.

Scenarjusz napisała pani Morozowicz - Szczepkowska, znana autorka „Sprawy Moniki". Wiemy, w jaki ton pani Szczepkowska najchętniej uderza. Mężczyzna — to przedewszystkiem uwodziciel, a już conajmniej figlarny motylek (z kwiatka na kwiatek), przez tego motylka ile to kobiet niewinnie cierpi!...

Można i tak. Szkoda tylko, że autorka scenarjusza, dla tem dosadniejszego uwydatnienia swych tez, nie cofa się przed użyciem farb zbyt jaskrawych i rysunkiem postaci, oraz sytuacyj, zbyt grubemi sztychami kreślonych, o jednostronnym światłocieniu. „Ta dziewczyna jest przerażająco szlachetna!" — woła w pewnej chwili jedna z bohaterek filmu. Kobiety pani Szczepkowskiej są zwykle przerażająco szlachetne.

Tu, uwiedzioną dziewczynę, oskarżoną o utopienie swego dziecka (przewód sądowy nie wykazał niezbicie winy oskarżonej), sąd skazuje na śmierć (!) Czy to prawdopodobne — mniejsza z tem, ale efekt jest, co?

Nie trzeba przesadzać. Nasze ustawodawstwo karze gwałt, uwiedzenie, zmusza do płacenia alimentów, ale co ma robić sąd, gdy się nie zna uwodziciela? W tym wypadku nie znała jego nazwiska i dziewczyna — był to przygodnie poznany pan (nie świadczy to na jej korzyść). Scenarjusz zawiera wiele miejsc niejasnych, które słuszność poglądów autorki podają nieraz w wątpliwość.

Co do reżyserji, trzeba jeszcze zaznaczyć, iż reż. Gardan szczęśliwie uniknął nieznośnej wady wielu innych naszych filmów: nadmiaru scenek osób rozmawiających, fotografowanych ciągle w tem samem ujęciu i z tej samej odległości. U Gardana djalogi nie obarczają zbytnio filmu, podczas rozmów stara się o pewne chociażby *minimum* ruchu, rozmaitości w jednoczesnem polu widzenia. Przytem fotografuje rozmawiających w coraz to innych sytuacjach.

Tylko zakończenie wypadło zbyt teatralnie.

Grają, po raz pierwszy, w obu głównych rolach: Jadzia Andrzejewska i Irena Eichlerówna. Gra pierwszej przekonywa prostotą, szczerością i siłą, natomiast trudno mi jest pogodzić się ze sposobem recytacji tekstu przez p. Eichlerównę. Na milę trąci sceną.

CASINO: „Prywatne życie Henryka VIII" reż. Aleksander Korda.

Przepych stylowych kostjumów i dekoracyj, tłumy statystów, wspaniała wystawa — oto czem się zwykle reklamuje filmy historyczne i... zniechęca kulturalniejszego widza. W tej maskaradzie ludzie często stają się tylko kukłami, a sam jarmark treści plastycznej nie wystarcza. Dodajmy jeszcze w dzisiejszych czasach djalogi — i obraz piły, jaką może być film historyczny, gotów.

Na szczęście, ten robili Anglicy, nie Amerykanie i jest to jeden z najinteligentniejszych filmów historycznych, jakie zdarzyło mi się widzieć. Sylwetka króla, atmosfera czasów, skreślone zostały z niezwykłą subtelnością i powściągliwością, unikającą przerysowania, ogólnego obrazu. Objektywizm i umiar artystyczny wysokiej miary przejawia się zarówno w nadzwyczaj żywym rysunku Henryka VIII, jak i w podmalowaniu tła stylowego. Tempo świetne; mimo, iż film jest mówiony, treść i wartość plastyczna każdego momentu już same przez się wystarczają i są zrozumiałe. Dynamika poszczególnych scen, ruch uzyskany ciągłą zmianą treści, rzucanej na pole ekranu, stanowią podstawę tego utworu, najistotniejszą w dobrze pojętych filmach, bez względu na to, czy są nieme, czy dźwiękowe.

Na specjalne podkreślenie zasługuje praca operatora, który dał wiele fragmentów wnętrz, b. pięknie rozplanowanych kompozycyjnie ma prostokącie płaszczyzny ekranu.

W roli Henryka VIII znakomity aktor angielski, Charles Laughton (znany między innemi z „Wyspy dr. Moreau") ograł świetnie, sylwetką, gestem, ruchami, z nad wyraz oszczędną mimiką, ograniczoną do wyrażenia stanów uczuciowych najbardziej impulsywnych i niezłożonych (a nie gamy skomplikowanych przeżyć, jak u aktora teatralnego).

Postać Henryka i innych figur pierwszoplanowych skopjowano wiernie z portretów Holbeina.

KANDYD

NOWE KSIĄŻKI

Ku czci poległych lotników. Książka pamiątkowa. Warsz. 1933. Wydaw. Komitet budowy pomników. Str. 420 in folio. Wiele rycin i plansza. Wyd. luksusowe.

Skarzyński Stanisław. Kpt. pilot. Na RWD 5 przez Atlantyk. Warsz 1934. Wyd. Aeroklubu. Nakładem L. Złotnickiego. Str. 192 z ilustr.

Grzegorczyk Piotr. Literatura polska zagranicą 1928 — 1932. Warsz. 1933. Str. 40. Odbitka z „Rocznika Literackiego" 1932.

Grzegorczyk Piotr. Uwagi o prasie niemieckiej w Polsce. Poznań 1933. Odbitka ze „Strażnicy Zachodniej" z 1933 r. Str. 16.

Wieczyście pamiętny 27 grudnia 1918. Poznań (1933). Str. 38.

Szyperski Alfons. Geografja talentów wielkopolskich. Bibl. „Wici. Wielkopolskich" t. IV. Str. 52.

Łakomy Ludwik. Obrazki z powstań Górnośląskich. Warsz. 1934. Wojskowy Instytut naukowo-wyd. Str. 75.

Gąsiorowski Wacław. Somosierra. Opowieść dziejowa. Wyd. III ilustr. Warsz. 1934. Dom Książki Pol.

Kleiner Juljusz. Mickiewicz. Tom I. Dzieje Gustawa. Lwów 1934. Wydawn. Zakładu Nar. im. Ossolińskich. Str. VIII i 532. Z ilustr.

Norwid Cyprjan. Reszta wierszy, odszukanych po dziś a dotąd niewydanych. Zebrał i wydał Zenon Przesmycki (Miriam). Warsz. 1933. Z funduszu wydaw. L. Wellisza. Skład w księg. Mortkowicza. S. 156.

Gawroński Andrzej. Wybrane czterowiersze Omara Chajjama. Przełożył z oryginału perskiego... Lwów 1933. Zakład Nar. im. Ossolińskich. (Wyd. ozdobne).

Ruch Literacki, listopad 1933 (nr. 9).

Ruch Filozoficky. R. X, zesz. 2 — 3. Praga.

Kalendarz Prawosławny na r. 1934. Warsz. „Głos Prawosławia". Z ilustr.

W ROZMÓWNICY

NIE jest to wprawdzie „kącik językowy", ale i z ogólniejszego stanowiska spojrzeć można na szerzące się w tych czasach niedbalstwo, psujące i ubożące piękną mowę polską. Rzecz warta zastanowienia, a to tembardziej, że już nietylko prasa, która słynie ze swojego niechlujstwa językowego, ale nawet książki szkolne grzeszą przeciw najprostszym i najpewniejszym zasadom języka polskiego.

Jako jeden z wielu, bardzo wielu przykładów, wskażę tu na bezradność w zestawianiu dwóch lub trzech przymiotników z rzeczownikiem. Jeden z poważnych dzienników narodowych pisze: „dzięki wielkiemu wysiłkowi politycznemu Komitetu Narodowego Polskiego", zamiast „Polskiego Komitetu Narodowego". W pewnym tygodniku, we wzmiance o Lindberghu pisze się: „ażeby zbadać możliwość stałej komunikacji międzykontynentalnej lotniczej", zamiast „stałej międzykontynentalnej komunikacji lotniczej". W szkolnym podręczniku geografji takie znajdują się zestawienia: „Strefy klimatyczne według średnich rocznych temperatur", zamiast „średnich temperatur rocznych". Albo: „pod 52 stopniem szerokości geograficznej północnej", zamiast „północnej szerokości geograficznej". Poza literaturą, nawet w nazwach towarzystw i zakładów błąd w zestawianiu przymiotników powtarza się często z tą samą bezradną niedbałością. Jako przykład niech posłuży „Towarzystwo Ogrodnicze Warszawskie", zamiast „W. T. O." Ale już i z jednym przymiotnikiem zaczyna się kłopot, świadczący o wręcz chorobliwym zaniku poczucia językowego. Oto przykład z pewnego tygodnika: „Na morzach południowej półkuli", zamiast „półkuli południowej".

Błędy tego typu stają się chorobą nagminną, którą trzeba zwalczać metodycznie i pedantycznie, bowiem najgłębszem podłożem ich jest słabość woli. Pozostawione — nietylko język szpecą, ale i wolę (mocą działania powrotnego) rozkładają. W szczególności rozmieszczanie przymiotników dokoła jednego rzeczownika zależne jest od woli człowieka. Słaba wola ulega albo wpływom obcym, albo pierwszemu lepszemu podmuchowi nastroju chwilowego, a wtedy przymiotniki sypią się jak żwir luźny — bez zachowania hierarchji w miejscu należnem. Człowiek o woli silnej bezwiednie rozmieszcza przymiotniki według ich hierarchji, harmonji rytmicznej, wagi gatunkowej i akcentu logicznego. A taki ich tok (znowu mocą działania powrotnego) zwiera wolę i drogę jej do mocy toruje.

S. P.

OFENSYWA

BIĆ ALBO NIE BIĆ

JAK istnieje gatunek „szpecjalistów" od fałszowanego mleka, od przemycanych z Hitlerlandu zapalniczek (i futer), gatunek szpecjalistów od fałszowanych dwuzłotówek (i podrabianych paszportów), tak istnieje też *species* szpecjalistów od „fałszowanego humanitaryzmu".

Kiedy wybuchła druga rewolucja rosyjska (*Oktiabr*) i rzeź chrześcijan, duży stosunkowo procent takich „szpecjalistów" znalazł odrazu posady w Czerezwyczajce i tam wydawał masowo wyroki śmierci na popów i kułaków. Zatajony sadyzm znajdował sobie często ujście w osobistem nawet wykonywaniu wyroków śmierci przez sentymentalnych „szpecjalistów" od humanitaryzmu; gdzie mogli, tam przynajmniej asystowali przy torturach...

Pouczeni tem historycznem doświadczeniem pilniej teraz przyglądamy się palcom rozmaitych i cudzoziemskich i krajowych „szpecjalistów od humanitaryzmu", nie tak łatwo już idąc na lep oszustów altruizmu. Ostatnio obserwowaliśmy bacznie, jak w związku ze zbrodniami hiszpańskich anarchistów i syndykalistów „szpecjaliści od humanitaryzmu" nie uronili ani jednej łezki nad ofiarami, nie protestowali ani jednem słówkiem. Również nigdy „szpecjaliści od humanitarności" nie apelują do serca publiczności, gdy Arabowie w Palestynie idą masowo do więzień, do szpitali i na cmentarze. Natomiast nad niedolą czy banicją z Niemiec krewniaka beczą „szpecjaliści od humanitaryzmu" dzień w dzień jako te „płaczki" pogrzebowe i swym lamentem od roku już zapełniają Europę wraz z przyległościami.

W warszawskim „Kurjerze Czerwonym" od jakiegoś czasu płacze nad niedolą wszego stworzenia pseudo: „Ixion". Trochę to on tam przy okazji szkaluje także duchowieństwo katolickie, „szlachtę" polską i endeckich „wsteczników", ale głównie i zasadniczo to on szlocha nad niedolą wszego stworzenia (uciskanego). Żeby trudniej było poznać, to ów Ixion cytuje świętego Karola Boromeusza, świętą Katarzynę ze Sjeny, świętego Franciszka z Assyżu, a także... biskupa Kepplera z Rothenburga. Pisze tak spokojnie, wytwornie, wykwintnie, tak elegancką, „dostałą" polszczyzną, że przypomina nawet czasami świetnego prozaistę z dawnych czasów, znanego pod pseudo: „Widz", „Obserwator" i Wasowski („Izralita" i „Epoka"). Niekiedy wzrusza do łez ten Ixion, nic nie mający oczywiście wspólnego z ik-sjonistami, zwalczający „kapitalistyczny ustrój", a więc widocznie proleta, nie pobierający żadnej emerytury z M. S. Z., to jest z urzędu jeszcze bądź co bądź kapitalistycznego państwa.

Ostatnio ten dworski opozycjonista zajął się znów gorąco i tkliwie niedolą dzieci. Po chłopach, po „chamach" (o których sobie teraz przypomniał) przyszła kolej na dzieci. Rozczulił się nad niedolą dzieci z tej... akcji, że nakładem K s i ę g a r n i Ś w i ę t e g o W o j c i e c h a wyszła jakaś książczyna jakiegoś kogoś o istocie i potrzebie i stosowaniu kary cielesnej. Gdyby to nie u świętego Wojciecha wyszło, toby się tem Jidxiontem nie zajął, ale że u świętego Wojciecha, więc *gefundenes Fressen* do popisania się z gorejącem sercem. Że zaś ze „sankcją cenzury kościelnej" (arcybiskupa Jałbrzykowskiego), więc zaraz między wierszami poszczucie i judzenie na duchowieństwo... Ci koło świętego Wojciecha radzą: bić dzieci, bić dzieci po pacierzu, przed spaniem... A on Ixion — on staje bohatersko w obronie dzieci: nie bić! nie bić! nie bić!

Sentymentalnemu Faryzeuszkowi odpowiadają spokojnie „Kurjer Polski" i „Słowo" wileńskie. Ponieważ Ixion chronicznie zgrywa się jako Europejczyk więc uspakajają cierpiętnika europejskiemi argumentami:

„W Anglji biją właściwie we wszystkich szkołach— biją nawet w szkołach średnich dla dziewcząt, biją metodycznie, z flegmą prawdziwie angielską. Nie biją natomiast tylko w szkołach powszechnych, chociaż niewiadomo, czy ten stan rzeczy nie ulegnie i tam pewnym zmianom. Na ostatnim dorocznym zjeździe pedagogów angielskich w Londynie rozległy się tak zdecydowane głosy za wprowadzeniem kary cielesnej, iż kto wie, czy nie przeważą one na szali decyzyj oświatowych władz angielskich."

Nie biją natomiast dzieci tam, gdzie biją... pewnych dorosłych. I tu Ixion dostaje wyjątkowo gorzką pigułkę do przełknięcia:

„Wyrzekły się go przedewszystkiem Niemcy, kraj „klasycznego bicia", który oddawna zrobił z pałki nauczyciela symbol!... niemal idealizmu niemieckiego. Po wielkiej wojnie bicie zostało urzędowo zabronione we wszystkich szkołach niemieckich — czy jednak ten zakaz przetrwa reżim hitlerowski z jego tendencjami do hartowania człowieka — niewiadomo."

W każdym jednak razie teraz tam trochę turbują innych, ale dzieci nie tykają, nie biją. I tak jest słusznie i tak jest pięknie i to powinniśmy naśladować i d z i e c i nie bić! Choć w starej Polsce „szlacheckiej" Pijarzy czy Bazyljanie, na kobiercu bijali, to my bijać nie powinniśmy, a już w każdym razie tylko w wypadkach wyjątkowych, specjalnych.

Bo bywają przecież sytuacje zgoła wyjątkowe. Bywają dzieciska tak zwyrodniałe, tak dziedzicznie i środowiskowo obciążone kryminalistycznemi instynktami, że w leczeniu ich klinicznej psychiki tylko chłosta systematyczna pomódzby jedynie mogła.

Dwa takie wypadki przytoczymy jako przykłady.

W jednym z numerów bł. pamięci tygodnika „Epoka", w artykuliku zwalczającym sądy doraźne (głównie wobec komunistów stosowane), pod tytułem „Ponura zabawa" czytało się, co następuje:

„W Kulikowie pod Lwowem, gdzie przed paru dniami stracono na szubienicy bandytę Zółtanieckiego, dzieci kilku tamtejszych kupców żydowskich: Tyrka, Klarfelda, Beka i Grynera zabawiły się w sąd doraźny i w szubienicę. Na rozprawie dzieci wydały wyrok, skazujący na powieszenie 6-letniego synka kupca Tyrka. Małego chłopca powieszono na drabinie. W ostatniej chwili przed zgonem starsi zdołali zdjąć dziecko z szubienicy. W stanie beznadziejnym przewieziono je do szpitala. Zabawa dzieci w sąd doraźny i szubienicę, która skończyła się tak tragicznie, wywołała w Kulikowie przygnębiające wrażenie."

Przyznać tedy trzeba, że amatorów i kandydatów do przyszłej polskiej „Czerezwyczajki" tylko systematyczna chłosta wyleczyć może z tych starozakonnych, sadystycznych inklinacyj...

Drugi wypadek, to z kroniki sądowej. Zdarzyło się nie tak dawno, że ojciec zabił jedynaka syna. Powiesił go w lesie, a potem długi czas zbrodni się wypierał. Bronił mordercę syna adwokat Ruff z Warszawy. I wtedy czytało się w prasie:

„Oskarżony Szaja Unger złożył niezwykle sensacyjne zeznania przed sędzią śledczym. Na pytanie bowiem, jak mógł dokonać takiej zbrodni na własnym synu, Unger oświadczył, że... ma czyste sumienie, gdyż talmud uczy jego, że jeżeli syn podnosi rękę na rodziców, to mają oni prawo pozbawić go życia — ale bez krwi, przez sznurek."

Otóż, gdyby Szaja Unger zapobiegawczo-pedagogicznie wykorzeniał był w synu złe instynkty wcześnie, nie byłby może zmuszony wieszać swego jedynaka w lesie i to własnoręcznie. Nawiasem mówiąc, wypadkiem tym, jako wkraczającym w sferę religijnych zabobonów i przesądów (Talmud), mógłby był swego czasu zająć się znakomity publicysta a specjalista od walki z zabobonami Chrześcijańskiemi p. Józef Wasowski, były radca M. S. Z. (obecnie na emeryturze).

Z Ixionem w „Expressach" jak czasami tak i tym razem najszczerzej się solidaryzujemy. Jesteśmy stuprocentowo za metodami pedagogicznemi niemieckiemi, z ich dzisiejszem uzupełnieniem, to znaczy: wolna ręka wobec dorosłych, wolna, niekiedy ciężka i twarda!

Dzieci natomiast nie bić! Na chłostę dzieci sił nie rozpraszać! Od dzieci wara!

ADOLF NOWACZYŃSKI

NA MARGINESIE

Idea kolekcjonowania Elity postępuje dalej i zatacza już kręgi na konserwatystów. Ci byli obrażeni, że w Elicie nie znalazło się dla nich miejsca z tytułu odznak bojowych i „niepodległościowych". „Sanacji" wszystko jedno, kto i za co ma wejść do Elity, aby tylko kolczyk miał markę Sanacji.

— Więc za co ks. Radziwiłł dostanie odznakę?

— Za „zasługi społeczne"...

Jakie to pomysłowe i dworskie! Sam ks. Radziwiłł pewno się zdziwił, że ludzie ze szkoły socjalistycznej przyznają zasługę społeczną konserwatystom.

*

Podobno... „Pion", czasopismo dla urzędników państwowych, zamierza, w myśl wskazań pedagogiki, wydawać specjalny dodatek dla młodzieży, pod nazwą — „Pionek"...

Adres Redakcji: Marszałkowska 153, tel. 625-45. Adres Administracji: Al. Jerozolimskie Nr. 17, 2-gie piętro Tel. 9-87-90.

PRZEDPŁATA kwart. zł. 9, półrocznie zł. 17, rocznie zł. 32, zagranicą kwart. zł. 12, półroczn. zł. 24, rocznie zł. 45.
Konto czekowe na P. K. O. 3.105.

Redaktor naczelny i wydawca: ZYGMUNT WASILEWSKI. Redaktor odpowiedzialny: JAN REMBIELIŃSKI.

Druk. Koop. Prac. Drukarskich. Zielna 47. Tel. 619-57 PRZESYŁKA POCZTOWA OPŁACONA RYCZAŁTEM.